Nr 19 Kraków, Niedziela dnia 24 Stycznia 1897. Rok V

Przedpłata
w Krakowie:
rocznie złr. 16·—
kwartalnie „ 4·—
miesięcznie „ 1·35
Za odnoszenie ct. 20
Na prowincji:
rocznie złr. 20·—
kwartalnie „ 5·—
miesięcznie „ 1·70
Za granicą:
miesięcznie złr. 2·—

Numer zwykły 8 ct.
Niedzielny 10 ct.

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 9 rano.

Ogłoszenia:
Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach 1½ ct.
w „Nadesłanem“
Wiersz zwykły 20 ct.
Śluby, nekrologi, wiersz 40 ct.
Do działu inseratów upełnomocniony *Jan Strycharski.*

Rękopisów redakcja nie zwraca.
Każda zmiana adresu 10 ct.

Adres Redakcji:
Kraków, ul. Karmelicka l. 22.

ZAŁOŻYCIEL: **JÓZEF ROGOSZ.**
Redaktor odpowiedzialny: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Adres Administracji:
Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.

Od Wydawnictwa.

Wszystkich Szanownych prenumeratorów prosimy o odnowienie przedpłaty, która wynosi:

Za miesiąc Luty:

W Krakowie . **1** złr. **35** Na prowincji . **1** złr. **70**

Wszyscy nowo przystępujący abonenci otrzymają bezpłatnie początek drukującej się w naszym dzienniku powieści p. t.: „Awanturnik“, przez Alfreda Assolant, jak również początek powieści p. t.: „Pan na Granowie“ (w formacie książkowym), pióra ś. p. Józefa Rogosza.

Za każdą zmianę adresu dopłaca się 10 centów.

„Wielki“ parlament.

Stan parlamentarnych stosunków w chwili rozpoczęcia zamkniętej wczoraj kadencji nie rokował parlamentowi łatwych wawrzynów, a Austrji tyle upragnionego postępu. Brak większości spojonej wspólnym w zasadniczych punktach programem, gromadne zastąpienie Staroczechów przez pełne życia i energji, lecz parlamentarnie niedoświadczone, krzykliwe zastępy Młodoczechów, szowinizm narodowy potężnej liczebnie lewicy niemieckiej, zakrywającej brak szerszego horyzontu i programu politycznego nieznośną, butną a pustą sofisterją, kierownictwo steru rządowego w ręku polityka wprawdzie wprawnego, nieumiejącego jednak dostatecznie ogarnąć całości i przeprowadzić na szerszą skalę zakreślonego programu politycznego — oto nieposyślne warunki, wśród których parlament rozpoczął w kwietniu 1891 roku nową sześcioletnią kadencję.

A jednak mimo tak niedogodnych warunków dokonano wiele prawdziwie wielkich reform i znaczących prac ustawodawczych: trwałe uzdrowiono skarb państwowy, przeprowadzono reformę walutową i podatkową, powołano w reformie wyborczej liczne zastępy nowych obywateli do życia politycznego, z gruntu zmieniono wadliwe i przestarzałe postępowanie w sprawach cywilnych, polepszono znacznie byt urzędników i sług państwowych, dokonano wreszcie wielu reform w dziedzinie ekonomicznej, handlowej i socjalnej. A jakkolwiek Austrja, dokonując tych zmian, nie wyprzedziła w postępie innych, znacznie silniej duchowi czasu folgujących państw, to jednak na każdy sposób zmniejszyła różnicę, dzielącą ją od nich w przeprowadzeniu nowożytnych postulatów cywilizacyjnych i ekonomicznych.

Jeśli tedy wielkim nazwać się godzi i tego, który przy dokonaniu wielkich rzeczy współdziałał, należy formalnie to zaszczytne miano parlamentowi, pracującemu w ubiegłej kadencji.

A jednak historja w swych sądach ostrożna, inaczej jego wartość i istotne zasługi oceni. Zarzuciwszy mu jałowość, mało wzniesiony poziom szerszych idei, brak duchowej łączności z ludami i ożywczych szlachetnych haseł bezradności, i ubliżającą powołaniu i samodzielności parlamentu powolność wobec rządu; odmówi mu tego szlachetnego przydomka i nazwie bezdusznym, strupieszałym, na przeżycie — w tych warunkach — ciężko chorym parlamentem. Przyznawszy mu zasługę przypadkowego obalenia gabinetu hr. Taaffego i przetrzymania trzechkrotnej zmiany ministerstw, odniesie te wielkie dzieła do pracy dawniejszych gabinetów biernej uległości niedołężnego parlamentu, prawdziwie nieaustrjackim—bo świadomym celu i energicznym w przeprowadzeniu — rządom hr. Badeniego i wreszcie temu wielkiemu przeobrażeniu, które dokonało się w pojęciach ludów, hasłach i siłach politycznych stronnictw.

A przeobrażenie to — wywierając naturalną konsekwencją rzeczy wpływ na parlamentarne stosunki, dopomogło znów ze swojej strony do roztoczenia niezasłużonej aureoli nad „wielkim“ parlamentem.

Silne wzmocnienie się prądów narodowościowych wśród ludów słowiańskich, narodowe zdobycze Słoweńców i Czechów, gwałtowna opozycja nie niemieckich ludów przeciw nieposkromionej hegemonji niemieckiej, zdruzgotanie krzyżackiego liberalizmu niemieckiego, nagły rozwój socjalnej demokracji, zwycięzki postęp antysemityzmu, ponad wszystkiem rozlegające się hasła intensywnej pracy ekonomicznej i socjalnych reform nadały nowe piętno, stworzyły nową erę w dziejach politycznego rozwoju Austrji.

Zasługa w tem samego społeczeństwa, szerokich warstw budzącej się do życia politycznego ludności robotniczej i wiejskiej i młodych generacji, rwących się do realnej, wielostronnej pracy.

Zasługa parlamentu tkwi w tych warunkach, jedynie w przypadkowem zejściu się jego z tem nagłem a potężnem przeobrażeniem, a jeśli nowe hasła i zmiana stronnictw odzywały się w niem, to chyba pod wpływem zewnętrznego nacisku i wyborczych rachub.

Tak więc w rzeczywistości małe są zasługi położone przez parlament w ubiegłej kadencji koło wielkich prac ustawodawczych i wzbudzenia nowych haseł, rozbrzmiewających obecnie coraz silniej po wszystkich krajach austrjackich, a minister dr Biliński komplementując parlament mianem „tak zwanego wielkiego parlamentu“ ocenił trafnie stan rzeczy i niedwuznacznie zaznaczył jego niezasłużone zasługi.

Ostatnie posiedzenie t. zw. „wielkiego“ parlamentu.

Wiedeń d. 22 stycznia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

(*δ*) Niby to uroczyście, wistocie rzeczy zaś czczo, płasko i z przygnębionem uczuciem zakończono dziś sesję parlamentarną, a z nią i sześcioletni okres ustawodawczy. Lubo początek posiedzenia zapowiedziany był na godz. 11 przed południem, już od godz. 9 zrana panował ruch nadzwyczajny w gmachu parlamentarnym. W sieniach i przedsionkach chodzono i wychodzono, lub się przechadzano, a na każdej twarzy uderzał wyraz jakiegoś nadzwyczajnego nastroju: u jednych niecierpliwości, u drugich troski — jednem słowem na pierwszy rzut oka poznać, iż wszystko i wszyscy znajdują się w naprężeniu oczekiwania czegoś ważnego. I nie dziw, że mieszane uczucia napawają serca. Przez lat sześć siedziało się z większą lub mniejszą gracją na kurulnem krześle poselskiem, przez lat sześć grano z większą lub mniejszą *grandezzą* rolę ojca narodu, „poświęcając się“ dla ogółu i kraju — a teraz, teraz zbliża się chwila, w której trzeba zejść z wyżyn godności poselskiej na padół zwykłych śmiertelników, przestać być posłem i nawet nie pobierać djet żadnych, być równym wyborcom — zejść z tych wyżyn, nie wiedząc czy się na zawsze nie pozostanie na nizinach powszechności. Wielu też z dzisiejszych posłów istotnie nie wróci więcej — to pewna, ale kogo trafi srogi los? Któż to może wiedzieć na pewno, trafić może każdego, nawet takiego, który siedzi najpewniej na siodle mandatu poselskiego, dlatego jest niepewność, lęk, a nawet trwoga znamieniem chwili.

Sienie parlamentu coraz rojniejsze. Tworzą się grupy, między tymi widać w jednej hr. Hohenwarta, Abrahamowicza Dawida, hr. Deyma, dra Kathreina, Chrzanowskiego, bar. Dipaulego i kilku innych jeszcze koryfeuszów stronnictwowych. Snać rozmawiają o czemś ważnem, bo mają bardzo poważne i uroczyste miny. Po chwili poruszają się w kierunku biura prezydjalnego. Idą oni z ramienia swoich stronnictw sznurkiem do prezydenta Izby, p. Chlumetzky'ego, by mu wręczyć w dowód czci i uznania złoty dzwonek, kupiony za składkowe pieniądze, a kosztujący przeszło 2.500 złr.

Czy zasłużył sobie prezydent policji... przepraszam, prezydent Izby poselskiej, na takie uczczenie?

Wreszcie około godz. 11 zaczyna się posiedzenie. Na porządku dziennym aż 5 punktów, same sprawozdania mniejszej wagi. Sprawozdawca mówi przed pustemi ławkami, bo wszyscy posłowie stoją w środku sali, żegnając jeden drugiego, jeden dziesięciu. Nikt nie słucha sprawozdawcy. Głosują mechanicznie. Bogu dzięki, iż już ostatni punkt porządku dziennego!

Porządek dzienny wyczerpany. Teraz zabiera głos „papa“ Chlumetzky. Z czoła bije mu widocznie troska, niepewność, niemal trwoga. Czy wróci na fotel prezydjalny? W interesie wolności słowa nie należy tego życzyć sobie. Grupa dostojników rozumie to najlepiej, ona wie, ile to razy dopomógł jej Chlumetzky nawet wbrew regulaminowi Izby do zwycięstwa i że on zawsze był i jest podporą każdoczesnego rządu, iż prowadzi obrady tak, jak gdyby był c. k. urzędnikiem.

Mowa długa, nawet bardzo długa. Z początku czyta ją z karteczek dość cichym głosem i zająkuje się także po cichu; potem podnosi głos i jąkanie staje się także głośniejszem, iż słychać je aż na galerjach. Dzięki Bogu, że już skończył; mówił albo raczył czytać z karteczek około trzy kwadranse.

P. Jaworski prosi o głos. Co też powie? Donośnie i jędrnie mówi, nawet z zapałem i zapędem krasomówczym, przyczem ani prawica, ani lewica jego nie próżnuje, bo jedną i drugą ręką popiera gestykularnie doniosłość swych słów donośnie brzmiących. Musi coś ważnego perorować? Co też takiego na sam koniec? Oto pieje hymn pochwalny na — p. Chlumetzkyego. Skończył — koniec posiedzenia. Mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego tylko p. Jaworski wyrwał się z pochwałą dla kogoś, kto na nie z pewnością nie zasługuje. Tchnie to sentymentalizmem z epoki koalicyjnej i wówczas istniała także taka czuła solidarność, która jednak wkrótce okazała się do niczego.

Jedno z pism wiedeńskich umieściło nad sprawozdaniem z dzisiejszego ostatniego posiedzenia Izby poselskiej napis: „godzina śmierci“ a mowę p. Chlumetzkyego nazwało „mową grobową“ — analogicznie możnaby mowę p. Jaworskiego nazwać „oracją pana organisty“, bo huknął jak z miecha... *summa laude.*

Końcem końca było posiedzenie Koła. Wielbiono zasługi p. Jaworskiego, który przyrzekł służyć krajowi... *usque ad finem.* P. Jaworski zaś znowu dziękował za dzielną pomoc p. Jędrzejowiczowi i po dwóch minutach skończyło się improwizowane posiedzenie.

Oby ziemia była lekką „wielkiemu“ parlamentowi!

Żydzi o sobie.

W żydowskiem, względnie szczerem piśmie *Sprawiedliwość*, które położyło sobie za zadanie demaskować brudy współwyznawców, czytamy co następuje: Działo się to w Radomyskiem, w Czarnej, żandarm konwojował chłopa, który z głodu i osłabienia ledwie trzymał się na nogach; chłop ten niósł w rękach *corpus delicti*, mianowicie świeżo zrobioną miotłę. Pisarz, który przyjmował aresztowanego, niezmiernie był zaciekawiony, w jakim stosunku jest owa miotła do przyprowadzonego chłopa i zadał sobie pracę, aby to wyjaśnić. Otóż pokazało się, że chłop w krzakach wikliny wyciął kilkanaście prętów, co nie jest wolno, a następnie związał miotłę w zamiarze, aby ją o pół mili od Radomyśla sprzedać za dwa centy i za nie kupić chleba dla zaspokojenia głodu. Los fatalny zrządził, że właśnie wszedł mu w drogę żandarm i ową wielką kradzież uniemożebnił, a nadto pociągnął chłopa do odpowiedzialności. Żandarm naturalnie z obowiązku swego musiał to uczynić i złodzieja prętów przyaresztować, a niepodobna zarzucić mu zatwardziałości serca, gdyż prawo najwyraźniej zabrania kradzieży nawet prętów. Obrazek ten, który przypadkowo nasunął się nam przed oczy, wywołał w naszej duszy prawdziwy bunt, wiemy bowiem,

że wielu ludzi spełnia wielkie oszustwa w życiu, a przecież nie są pociągani do odpowiedzialności i sprawiedliwość milczy.

Typy takich żydowskich „Cultusganewów“ (złodziejów zarządzających wyznaniowemi gminami żydowskiemi) którzy codziennie popełniają zbrodnie, pozostają w spokoju, gdy tymczasem ubogi, głodny chłop, który z trudnością wycina owe pręty. i z nich przyrządza miotłę, aby ją zanieść o pół mili i sprzedać za dwa krajcary, a za nie kupić kawał chleba dla zaspokojenia głodu, będzie aresztowany. Sprawdza się tu przysłowie, że małych wieszają, gdy wielkich puszczają wolno, należy tylko jeszcze to przysłowie uzupełnić, że wielcy umieją sobie radzić, aby ich na gorącym uczynku nie pochwycono. Jeżeli teraz ową miotłę nędznego chłopa zestawimy z czynami jakie Cultusganew w Galicji choćby przy jednym tylko wyborze spełnia, to podziwiać będziemy dlaczego chłop jest aresztowany a Cultusganew pozostaje na wolnej stopie, dlaczego ten ostatni zamiast siedzieć w kryminale, zasiada w Radzie gminnej lub Izbie handlowej.

Otóż tedy obecnie objaśniamy, że takiemu Cultusganewowi łatwo przychodzi być wybranym do jakiejś Instytucji, gdyż za pomocą przekupstwa, łapówek i obietnic zdobywa kartki wyborcze i wyborcze legitymacje i pomiędzy nazwiskami hrabiów, baronów, znacznych kupców i t. p. wpisuje swoje nazwisko i bywa nietylko wybrany, ale nawet zaraz staje się kolegą wyżej wymienionych arystokratów i znakomitości gminy. Skoro taki Cultusganew zostanie wybrany, to i reprezentacja żydowskiej gminy wyznaniowej staje się najzupełniejszym łupem tegoż. Wyzyskuje też on ją aż do ostateczności dla swojego celu, a może to czynić, ponieważ ordynacja wyborcza w galicyjskich reprezentacjach żydowskich gmin wyznaniowych daje sposobność i sprzyja tak szwindlowi jak i oszustwu. Do galicyjskiej żydowskiej gminy wyznaniowej wybierają się członkowie na podstawie opłacanych podatków na rzecz gminy wyznaniowej; kto pewną kwotę podatkową płaci, ma prawo głosowania. Cultusganew zatem tak sobie radzi: opodatkowuje on wyłącznie wiernych mu i zależnych od niego, o których jest spokojny, że będą głosować na tych kandydatów, których on im przedstawi. Kandydaci zaś przedstawieni przez Cultusganewa, są po większej części tak ambitni, że ich wcale nie obchodzi, choć Cultusganew ludność gminy zdziera i rabuje; milczą, bo posiadają już mandaty.

Po większej części Cultusganew mianuje na kandydatów do gmin wyznaniowych idjotów, albo głuchych i ślepych, bo mu właśnie o to idzie aby w swej radzie posiadał takich, którzy mu są poręczni i nie będą przeszkadzać w szwindlach i oszustwach. Nie każdy z Cultusganewów jest tak ostrożny i rabuje gminę tak, aby go prokurator nie przychwycił. Niejeden kradnie wprost i większa część tych złodziei dostarcza w swej gminie synekur dla krewnych, podejmuje się dostawy mąki wielkanocnej i liczy 5 do 6 złotych wyżej na centnarze metrycznym. Aby rachunki z gminy uczynić dla siebie korzystnemi, trzyma niejeden Cultusganew wspólnego z gminą buchaltera. Gmina dla Cultusganewa jest łatwą gratką, rabuje on co najmniej setkę obywateli, mających prawo należenia do gminy wyznaniowej, ale ci na wszystko to mają mieć zamknięte oczy, jeżeli nie chcą, aby przy następnych wyborach zostali usunięci z Rady; tak się pozbywa nagniotka. I takie działanie wewnątrz reprezentacji wywołuje gorszący wpływ na całą gminę; w mieście, w którem wielki Cultusganew żyje i spełnia bezprawia, wydarzają się też zbiorowe zbrodnie między członkami gmin, które są następstwem działań Cultusganewów i jego wspólników“. Oto jak żydzi piszą o samych sobie. A cóż my o nich pisać mamy!!

Gwałty węgierskie.

W dniu wczorajszym otrzymaliśmy z kancelarji gminy Sromowice Wyżnie pismo, które z przyjemnością podajemy, zachowując właściwości stylowe, w tem miłem poczuciu, iż część zasługi koło ulżenia doli owych piętnastu uwięzionych niewinnie, sobie przypisać możemy. Pismo owo brzmi: „Podpisani prosimy najuprzejmiej Szanowną Redakcję, tę naszą bazgraninę, gdy będzie tylko nadawać się do druku, umieścić w szpaltach dziennika i przeprosić od nas wszystkich co czytać będą te nasze pisanie i może nudzić się i przykrzyć sobie będą, że tak niegładko i nieciekawie piszemy jak to panowie uczeni umieją. My prości wiejscy ludzie radzi już bardzo jesteśmy i dziękujemy Bogu za to gdy Wni Panowie nas już tylko zrozumieją.

Wiadomo jest Wielmożnym Panom, że jesteśmy już dzięki Bogu od 12 b. m. od godziny 5-tej po południu wypuszczeni z aresztu węgierskiego w Lewoczy, a od dnia 13 tegoż miesiąca znajdujemy się już w domostwach swoich szczęśliwi przy żonach... i dzieciach i chudobie swojej; a że w szczęściu jakto mówią nawet uczeni zapominają ludzie nietylko o przeszłej swojej biedzie, ale nawet o dobrodziejstwach doznawanych i o swych dobrodziejach. Nie dziwić się przeto prosimy Wielmożnych Państwa Dobrodziejów naszych, że i my prości jak to mówią „Bogu ducha winni“, przy obfitości teraźniejszego szczęścia naszego zapomnieliśmy na chwilę o obowiązkach wdzięczności, które czuć będziemy na zawsze dla Wielmożnych Panów za nawoływania po świecie, w gazetach swoich, na postępowanie niesprawiedliwe z nami panów węgierskich dopóty, dopóki im się aż tak niesprzykrzyło, że nareszcie nas puścić musieli z więzienia.

Przeświadczeni jesteśmy, że wolność tę nieodzyskalibyśmy jeszcze dotąd; bo skąd i jakim sposobem: gdy cesarz daleko a Pan Bóg wysoko, jakto nam mówi nasze chłopskie przysłowie, a tu z więzienia wydobyć się ani sposobu; bo co to napróżno mówić nawet o tem, gdy ani odezwać się i ruszyć się z niego nie byliśmy w stanie. Siedzielibyśmy sobie zatem Bóg wie dokąd; może tak jak i inni, których jest dosyć jakeśmy słyszeli co od 11 miesięcy nie byli wzywani jeszcze do protokółu. Ten przeciąg czasu z pewnością musielibyśmy czekać i my gdyby nie *Głos Narodu*, który nieustannie przemawiał za nami w obronie naszej sprawy i niewinności, do uczucia sprawiedliwości i sumienia panów węgierskich, że nas w końcu uznać musieli za niewinnych. To też z najszczerszego serca oświadczamy stokrotne podziękowanie przedewszystkiem naprzód *Głosowi Narodu* a potem prosimy o umieszczenie w dzienniku swoim podziękowań: niezmordowanemu naszemu orędownikowi p. posłowi Janowi Potoczkowi, Wysokiemu Kołu polskiemu, ministerstwu, posłowi p. Wielowiejskiemu i wszystkim WPanom naszym w kraju co się zajmowali nami i sprawą naszą; a także obrońcy naszemu bezparcjalnemu adwokatowi węgierskiemu p. Beerowi.

Świętą prawdę powiedział w swoim artykule *Głos Narodu* Nr 11, że całej tej krzywdy nam wyrządzonej narobił pierwszy sąd węgierski, ślepo wierząc oskarżeniom dzierżawcy dóbr biskupich żydowi Szymonowi Hercowi, jakobyśmy byli złodziejami, napastnikami i rabusiami w biały dzień na mienie i życie obywatela węgierskiego.

Na podstawie tak wyrafinowanego oskarżenia i podejścia chytrego żyda, gdy żandarmerja nas spokojnie zachowujących się na pastwisku naszem zaaresztowała i okuwszy w kajdany przyprowadziła do sądu; pan urzędnik tak strasznym był zapalony ku nam gniewem, że na pierwszym zaraz wstępie łżył nas najokropniejszemi brzydkiemi słowami, a między innemi powiedział: „że wszystkich nas Polaków zmięsza ze śmierdzącym (za przeproszeniem państwa, że aż wstyd powiedzieć, sami się panowie domyślicie...) błotem“. A gdy prosiliśmy tego pana urzędnika, żeby był łaskaw przeczytać odezwę naszego p. starosty z N. Targu, który się wstawiał za nami, tak się zaperzył ten pan urzędnik, że na całe gardło krzyczał „co mi tam wasz starosta, niech tylko przyjdzie tutaj, to ja go tak samo jak was zaraz zwiążę“. Czyż takiem powiedzeniem ów p. urzędnik nie obniżył powagi i godności wogóle urzędników władz wszystkich nietylko obcych ale i swoich?

Takie traktowanie nas z góry dało pochop dozorcom i straży niższej obrzucania nas ciągle strasznemi przekleństwy „bassam waszoho poskoho Boha“, że nareszcie jeden z naszych bardzo dobrze mu powiedział: czy to wasz Bóg jest inny; wszakże wy podobno także jesteście katolikami, zresztą cóż wy chcecie od naszego Boga polskiego. Widzicie jaki nasz Bóg jest dobry i cierpliwy i nam każe być takimi.

Z tego wnosić można, jak ciężkie i przykre było nasze życie więzienne w naszej wsi i początkowe w Lewoczy, nim się nareszcie nie przekonali, żeśmy tak wielkimi zbrodniarzami nie byli. Szczęściem, że zawziętość i nienawiść pp. urzędników nadgranicznych, nie udzieliła się węgierskim władzom wyższym, bo gdyby broń Boże sądy wyższe węgierskie rządziły się tym samem zapatrywaniem i niechęcią ku nam, to nieskończyłoby się na śmierci jednego tylko z naszych w więzieniu w Lewoczy Franciszka Sołtysa, lat 30 kilku dopiero, pozostawiającego żonę i czworo drobnych dzieci, ale wieluby jeszcze z nas osierociło swoich familij umierając ze smutku, żalu, hańby, przykrości i niewygod więziennych.

Pokładaliśmy nadzieję w sprawiedliwość i bezstronność wyższych władz węgierskich i niezawiedliśmy się, pokładamy i nadal, że nie pozwolą nam krzywdy wyrządzonej na czci i majątku, skoro będziemy o nie dochodzić — pozostawić bez dobrego skutku. — Bo widoczną jest rzeczą, jak się pokazuje z uwolnienia naszego, że nie było celem wysokich władz węgierskich, jak mniemano o nas pierwej, aprobować wszystkie wyroki sądów niższych, tyczące się pozbawienia wolności osobistej i posiadłości ziemskich nadgranicznych mieszkańców, byleby tylko przez to powiększyć było można posiadanie węgierskie.

Dziękujemy jeszcze raz wielmożnym panom dobroczyńcom naszym za opiekę nad nami, z której i nadal prosimy nie wypuścić nas biednych, ale tak jak i pierwej, podnosić swój głos i dodawać rady, żebyśmy za krzywdy swoje mogli być wynagrodzeni.

Sromowce Wyżnie, dnia 21 stycznia 1897.

Jan Janczy nr. 3 wójt i więzień, Jędrzej Janczy nr. 7 przysiężny i więzień, Kowalczyk Franciszek radny i więzień. Chmiel Jędrzej radny i więzień, Bańkosz Jędrzej radny i więzień, Bańkosz Jan radny i więzień, Janczy Józef radny i więzień, Grywalski Franciszek radny, Pierwoła Jan radny, Knutelski Józef radny; podpisał Zimmer Ludwik.

Równocześnie z powyższym listem otrzymaliśmy uchwałę Rady gminnej Wyżnie Sromowce, którą *in extenso* zamieszczamy:

Uchwała

Rady gminnej wobec podpisanych radnych:

Rada gminna uchwala wyrazić podziękowanie:

1) Panu Janowi Potoczkowi, posłowi do Rady państwa;

2) p. Wielowiejskiemu, posłowi do Rady państwa;

3) J. E. Apolinaremu Jaworskiemu, prezesowi Koła polskiego;

4) całemu Kołu polskiemu w Wiedniu;

5) Redakcji *Głosu Narodu*, za energiczną i skuteczną obronę naszych 15 niewinnie aresztowanych chłopów.

Podziękowanie to ma być przesłane do Koła polskiego w Wiedniu, na ręce p. Jana Potoczka i do Redakcji *Głosu Narodu.*

Zwierzchność gminna: Podpisy jak wyżej.

Z KRAJU.

Tarnów 21 stycznia.

List oryginalny „Głosu Narodu“.

Rozdanie nagród sługom. — Uczczenie pamiątki r. 1863. — Wiadomości osobiste.

(X) Biorę do rąk pióro, by podać do wiadomości publicznej ważniejsze wypadki z ostatnich trzech tygodni.

W dzień św. Trzech Króli odbyło się w sali Sokoła publiczne rozdanie nagród sługom za długoletnią, od 7 do 25 lat trwającą służbę u jednych państwa, a służbę wierną, uczciwą i przyjaźną. Iznalazło się takich poczciwych starego typu sług 17. Otrzymała każda kosztowną i ozdobną książkę treści religijnej, mianowicie „Żywoty Świętych“ i książeczkę Kasy oszczędności na kwotę 10 złr. Zagaił uroczystość ks. prałat Jan Łukowski, założyciel i promotor Towarzystwa sług katolickich, a zakończyła rzewną a śliczną przemową jedna ze sług, dziękując za opiekę i pracę nad sługami szlachetnym kapłanom i paniom. Towarzystwo jest to jedno z najpiękniejszych Stowarzyszeń w Tarnowie, bo pracuje w duchu miłości Chrystusowej nad umoralnieniem i oświeceniem sług, tych tak ważnych a niestety mało cenionych członków rodziny. Należy do tego towarzystwa 289 sług płci żeńskiej, liczba członków założycieli wynosi 17, a liczba członków honorowych 71. Co drugą niedzielę odbywały się w sali Sióstr Felicjanek pod kierownictwem ks. Promotora, w obecności pań wydziałowych a niekiedy i gości, zebrania sług, na których im udzielano nauki czytania i pisania, rachunków i robót kobiecych; na innych odbywały się odczyty treści pouczającej o obowiązkach zawodu swego i o sposobie ich wypełniania. Towarzystwo ma bibljotekę, kapitał wynoszący blizko 3.000 złr., a nadto Wydział zachęca i kieruje oszczędnością sług, które w roku 1896 złożyły kwotę 521 złr. na książeczki Kasy oszczędności. Wreszcie utrzymuje Rada zawiadowcza Towarzystwa, której przewodniczącą jest p. Marja Vajhingerowa, żona posła; biuro stręczeń, którem zawiaduje bezinteresownie p. Rozalija Mogulska, w drukarni J. Styrny. Resztę szczegółów dotyczących Towarzystwa można wyczytać w Sprawozdaniu drukowanem, a te szczegóły podajemy dla przykładu innym miastom, a może sługi nasze wyrwiemy z domu niewoli żydowskiej i podniesiemy tych biedniejszych braci i siostry nasze, czego się zresztą domaga ruch postępu w myśli bożej pojmowanego.

Ludzie dobrej woli pomyśleli tu o weteranach z r. 1863, na których dochód urządziło ruchliwe i patrjotyczne Towarzystwo „Sokoła“ przedstawienie amatorskie w gmachu własnym d. 19 stycznia. Odegrano po raz wtóry farsę Adolfa Abrahamowicza p. t. „Nihiliści“, jeszcze lepiej niż pierwszy raz. Udział publiczności był liczny, a dochód znaczny, co w wielkiej części jest zasługą p. Wilhelma Habichta, delegata Towarzystwa wzajemnej pomocy uczestników powstania z r. 1863, który porozsyłał zaproszenia na to przedstawienie znaczniejszym osobom.

Ku uczczeniu rocznicy powstania z r. 1863 urządza znów Stowarzyszenie rzemieślnicze „Gwiazda“ wieczór deklamacyjno-muzyczny dnia 24 b. m. we własnej sali.

A teraz ważniejsze wiadomości osobiste. Dnia 18 b. m. pogrzebaliśmy Szczęsnego Boczkowskiego, zegarmistrza, właściciela realności i członka Rady miejskiej od lat dawnych. Śmierć jego zrobiła wyłom w społeczności mieszczan chrześcijańskich. Był to bowiem człowiek na wskroś prawy, czynny, i dobry patrjota. Służył on miastu przez lat przeszło dwadzieścia w Komisji ogrodowej, której był skarbnikiem,

a w r. 1863 był sądzony i więziony za uczucia patrjotyczne. Cześć jego pamięci!

Na posiedzeniu Rady miejskiej dnia 21 b. m. odbytem złożył do rąk Starosty i Radcy Namiestnictwa, p. Dunajewskiego, przyrzeczenie obrany na poprzedniem posiedzeniu wice-burmistrzem p. Stanisław Stojałowski. Wybór ten jest mile przyjęty w mieście, bo p. St. odznacza się prawością charakteru a przyświecają mu wielkie przykłady jego ojca, znakomitego obywatela i patrjoty.

Odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu nie Cz. ale Franciszek St., uczeń 4-go roku praw, syn Inżyniera a nie inżyniera powiatowego. Był to młodzieniec piękny i zdolny. Współczucie dla nieszczęśliwej matki — wdowy powszechne.

Nowy Sącz d. 20 stycznia.
(List oryginalny Głosu Narodu).

Ruch przedwyborczy. — Kurja IV. — Brak kandydata do kurji V. — Miejmy nadzieję.

Ruch przedwyborczy u nas rozpoczął się już na dobre, a tem staje się widoczniejszy, że kilka wrogich partyj występuje z sobą do walki. Grono dobrze myślących obywateli poprze niezawodnie sympatyczną kandydaturę dotychczasowego posła do Rady państwa Potoczka w kurji IV i nie da posłuchu podstępnym agitacjom socjalistów, którzy kandydaturze tej starają się szkodzić wszelkiemi siłami. W kurji V. dotąd jawnej kandydatury nie zgłoszono, ale krążą już pogłoski, że o mandat ten ma się ubiegać pan Zygmunt Mayer, redaktor wychodzącego w Nowym Sączu *Mieszczanina* i w tym celu brata się z socjalistami. O ile sympatyczną jest nam osoba szanownego redaktora, o tyle dziwią nas środki, któremi dojść chce do zamierzonego celu, boć przecie znane nam są jego przekonania z „antysemickiego" kierunku *Mieszczanina*, a te nie idą w parze z zasadami socjalistów, przyjaciół i wielbicieli żydów.

P. Mayer, jako były nauczyciel ludowy, powinien przedewszystkiem oprzeć się na ludzie, dla którego uświadomienia niemałe położył zasługi — ale nie na socjalistach, którzy tylko uszczerbek jego powadze przyniosą.

Spodziewamy się również, że katolickie stowarzyszenie robotników „Przyjaźń" nie zaśpi gruszek w popiele i oświadczy się jawnie za stanowczą kandydaturą, odpowiadającą katolickim i narodowym interesom partji potępi, podstępne knowania socjalistów, którzy jakieś odezwy w żydowskich drukarniach wykonane i „żydowskiemi" zaopatrzone podpisami, rozrzucają po nocach pod domami tutejszych obywateli, przylepiają nawet do okien drzwi.

Z taką agitacją upora się policja, a nasza zwycięży!

ZE ŚWIATA.

Wiedeń d. 22 stycznia
(List oryginalny Głosu Narodu).

Proces morderców Doleżala. — „Kamienica lepsza!"

W całym Wiedniu jest przedmiotem rozmów podwójna senzacyjna zbrodnia, dwudziesto-pięcio letniego robotnika Doleżala. Dnia 12-go listopada 1896 r. zamordował on 70-cio letnią staruszkę Marję Stöger zaś poprzednio 7 lutego 1896 siedmdziesiąt jeden lat liczącą Maryę Frenzl. Dowiedziono, że Doleżal chodził po domach, handlując koniakiem i kawą figową i jako taki spewnością napadł obie staruszki, które się przed silnym i młodym zbrodniarzem żadną miarą obronić się nie mogły. Pierwsza zbrodnia przedstawia się jak następuje. Dn. 7 lutego 1896 znaleziono mieszkającą w Rudolfsheim na Arnsteingasse starą Marję Frenzl zamordowaną w jej własnem mieszkaniu. Obdukcja sądowo lekarska wykazała śmierć przez uderzenie. Przy śledztwie zauważono brak czerwonej torebki skórzanej, w której zamordowana składała zazwyczaj oszczędzony grosz, to też okoliczność ta pozwoliła wnioskować, że mord spełniono w celach rabunku. Długo nie można było niczego dowiedzieć się o osobie zbrodniarza dopiero analogiczny czyn spełniony w listopadzie na starej Stögerowej rzucił podejrzenie na Doleżala. O tej drugiej zbrodni już wam dziś nie piszę, jest ona wam niewątpliwie znaną z dzienników wiedeńskich, zdaje mi się zresztą, że już wam o niej pisałem w poprzednich moich korespondencjach. Powracam zatem do morderstwa Frenzlowej. Komisarz policji zauważył między przedmiotami, znalezionemi w pokoju Doleżala krzyżyk biały, którego z pewnością nie mógł być własnością Doleżala, przyznającego się do zupełnego braku wiary. Ale komisarz przypominający sobie, że Frenzlowa była bardzo pobożną osobą, zaczął podejrzywać, że krzyżyk ten jej był własnością. Wkrótce okazało się, że posądzenie było bardzo słuszne. Dwoje wnucząt Frenzlowej, którym krzyżyk ów pokazano, zeznało jednomyślnie, że należał on do ich babki. Dzieci pamiętały również, że pod krzyżem nalepiona była kartka z pisaną modlitwą i że w podstawie znajdowała się szufladka, w której znajdowała się kiedyś cząstka drzewa krzyża św., która następnie przez Frenzlową zgubioną została.

Wszystkie te szczegóły zgadzały się znakomicie z odnalezionym krzyżem. Doleżal jednak, aczkolwiek przy oznajmieniu mu, że jest posądzonym o drugą zbrodnię, silnie zbladł — nie chciał się przyznać do żadnej zbrodni. Czyn ten jednak jest dziś zupełnie udowodnionym. I tak stwierdzono, że Doleżal nie posiadający wówczas, t. j. 7 lutego żadnego zarobku, kupił sobie w dwa dni po zamordowaniu Frenzlowej płaszcz zimowy za 35 złr., garnitur za 19 złr. i spłacił 7 złr. starego długu. Uczęszczał on poprzednio do kawiarni umieszczonej blisko mieszkania Frenzlowej; od dnia zbrodni zaś przez kilka tygodni nie pokazał się wcale w owej kawiarni, widocznie obawiając się, by go nie poznano w owej dzielnicy jako mordercę. Obciążającą jest również okoliczność, że Doleżal przedstawiał się w tej części miasta jako niejaki Watzman. Między przedmiotami znalezionemi u Doleżala znajduje się również czarna skórzana torebka do pieniędzy i bronzowa papierośnica, która niewątpliwie należała do dobytku Frenzlowej. O procesie, który niebawem się rozegra, doniosę wam w najbliższej przyszłości.

Na zakończenie wesoła anegdotka.

Komik teatru w Baden pod Wiedniem, Karol Schrepfer, zdumiewający podobieństwem z Girardim, od 1 maja zaangażowany był do teatru „An der Wien", jako następca słynnego komika wiedeńskiego. Układ ten rozbił się o niespodziany, lecz „przyjemny" dla głównego bohatera epizod. Otóż żyjąca w Badenie znana miljonerka i protektorka teatru, ofiarowała Schrepferowi dom przy głównej ulicy i 20.000 złr. kapitału, za zerwanie kontraktu z Wiedniem i pozostanie w składzie artystów badeńskich. Łatwo odgadnąć postanowienie obdarowanego:

— Lepiej pewny dom w Badenie, niż niepewne wawrzyny w Wiedniu — rzekł sobie podług „starego wzoru" i zerwał umowę do stolicy nad Dunajem.

Swój.

Bruksela 20 stycznia.
(List oryginalny Głosu Narodu).

Proces księżnej Chimay-Ward przed sądem w Charleroi.

Wczoraj rozpoczęła się przed sądem w Charleroi sprawa o rozwód księżnej Chimay z domu Ward z księciem Józefem Chimay. Rozprawy odbywają się w przepysznym „palais de Justice", sala jest wypełniona liczną publicznością, wśród której mnóstwo paryskiej i belgijskiej arystokracji, dziennikarzy krajowych i zagranicznych, wreszcie mnóstwo ciekawych. Rozprawom przewodniczy sędzia Bastin; jako „*Ministre public*" funkcjonuje prokurator Morelle. Jako adwokat księcia Chimay występuje były prezydent ministrów Bernaert. Sprawy księżnej broni adwokat paryski, Allain. Książę jest obecny rozprawom. Wysoki, sympatyczny, o wyglądzie bardzo dystyngowanym, jest widocznie nader zdenerwowanym, oglądając się ciągle na publiczność, której wykluczenia niewątpliwie pragnął. Zaraz po zagajeniu posiedzenia przez przewodniczącego wnieśli obaj adwokaci o wykluczenie publiczności, a szczególnie o wykluczenie sprawozdawców dziennikarskich. Dziennikiści są, zdaniem tych panów, najwięcej winne, bo skandal rozgłaszały i powiększały do niepojętych rozmiarów. Rozprawy nie są na to, by dzienniki miały o czem pisać, ale na to, by się sprawiedliwości zadosyć stało. Zdanie to popierał również prokurator Morelle sądząc, że publiczność musi być wykluczoną wobec sprawy zbyt prywatnej i skandalicznej. Sąd oświadczył się za wykluczeniem publiczności aż do *plaidoyers* adwokatów. Mimo to jednak udało cię zaterem dziennikarzom pozostać w sali. Dwóch jest paryżan, jeden redaktor dziennika wychodzącego w Charleroi, i jeden dziennikarz tutejszy, brukselski. Tym pozwolono pozostać w sali rozpraw, ponieważ wszyscy czterej są adwokatami. To też dzisiaj ukazały się w paryskich i tutejszych dziennikach długie i wyczerpujące sprawozdanie o procesie.

Pierwszy przemawiał adwokat księcia, Bernaert, starając się streścić w krótkich a zwięzłych słowach winę księżnej i wnieść w imieniu księcia o rozwód. Opowiada on, znane wam już zresztą zapewne, szczegóły ucieczki zaznaczając, że wobec znanego trybunałowi stanu rzeczy, nie potrzeba, zdaniem jego dalszych dowodów. W ten sam mniej więcej sposób przemawiał również drugi adwokat księcia, brukselczyk, De la Croix. Poczem zabrał głos paryski adwokat księżnej Allain. Nie ma on powodu do uniewinniania klientki swojej. Księżna przysłała mu obszerną korespondencję swoją z mężem, prosząc o uwiadomienie o tem sądu. Księżna przyznaje, że ona tylko jedyna jest winną wszystkiemu. W jednym z odczytywanych listów pisze ona, co następuje:

„Wiem, że się stałam przez krok mój osobą historyczną (!). Miałam być dobrą, szlachetną i mieć charakter, który pan masz, a nie dziką, jaką jestem; jesteś pan tembardziej wolny od wszelkiej winy, że byłeś za dobrym i za inteligentnym, by mnie jakimkolwiek sposobem pchnąć do kroku, który miał być bolesnym dla Ciebie, ale którego nie żałuję. O tyle tyle tylko przyczyniłeś się pan do winy, że nie zrozumiałeś mojej młodości; zostawiałeś mnie samą w wielkich salach zamku Chimay lub w smutnych alejach parku. Tylekroć już przebaczyłeś mi pan, że i teraz wierzyłam w to przebaczenie. Tymczasem stało się inaczej"... W drugim liście, pisanym z Paryża na dzień przed wyjazdem jej z Janosem Rigo do Budapesztu, donosi księciu, że mieszka w hotelu, gdzie zapisała się na liście gości jako pani Rigo. W trzecim wreszcie znajdujemy następujące słowa: „Czyż mogę się jeszcze spodziewać pańskiego przebaczenia? Czyż mogę spodziewać się przynajmniej, że choć kiedyś w życiu dowiem się, że pan zapomniałeś o tej całej sprawie... Pamiętaj pan, proszę, o dzieciach. Dziewczynka jest tak bardzo delikatna i chorowita. Pamiętaj pan także o chłopczyku. Oboje oni nie mają już matki!" Resumé które po odczytaniu listów adw. Allain podaje do zapisania, stwierdza kategorycznie przyznanie się księżnej do winy. Jednego uznania tylko żąda księżna: można ją potępić, bo była złą żoną, ale złą matką nie była nigdy (!) Księżna twierdzi, że zmuszona popełnić ten krok, który świat za skandaliczny uważa, chciała z miłości dla dzieci swoich urządzić to cicho, ale książę i prasa dopuścili do skandalu.

Adwokat księcia, Bernaert, nie chce się długo rozwodzić. Ostatnie słowa partji przeciwnej uważa on za ostatni, nieudany wykręt moralnie upadłej i potępionej przez wszystkich kobiety: stanowczo obstaje on przy twierdzeniu, że księżna była złą matką. Zresztą radzi tylko przeciwnikom, by trzymali się zdala od niesprawiedliwych napaści na księcia, w przeciwnym bowiem razie nie zawaha się wydobyć materjału, od ogłoszenia którego wstrzymał się dotychczas z obowiązków gentlemana. Wreszcie prosi, aby sąd nie wierzył odczytanym listom, gdyż żaden z nich nie jest autentycznym. Mówi się, że książę powinien był strzedz cnoty swojej żony, ale równocześnie zapomina się, że książę tylko dlatego zrzekł się swego czasu mandatu do Izby deputowanych, zapomina się o przysłowiu, mówiącem, że cnota, której strzedz trzeba, strzeżenia nie warta! Po tych przemówieniach odebrał Morelle jako *ministre public* cały materjał aktów i dokumentów, a zarazem wniósł wydanie wyroku za dni czternaście. Po przyjęciu wniosku przez trybunał, posiedzenie zamknięto.

R. Z.

DŻUMA.

Z notatek lekarza Polaka.

Mało komu wiadomo, że zagrażająca dziś Europie dżuma zbadaną została naukowo przez naszego rodaka, dra Jabłonowskiego, jeszcze przed 10 laty. Nieustraszony ten lekarz, z polecenia rządu tureckiego, dotarł do ogniska zarazy i przeprowadził dokładne studja lekarskie nad tą straszną chorobą, z narażeniem własnego życia. Oto wyjątek z ciekawych zapisków dra Jabłonowskiego:

Świeżo odbyta podróż po za granice dzierżaw otomańskich była dalszym ciągiem rozwoju poleconych mi badań nad dżumą. Praca rozpoczęta i prowadzona z niejakim skutkiem w Zorbatye, musiała być przerwana za dojściem wiadomości, którą stolica Persji zatrwożyła bliższy i daleki wschód głosząc, że w okolicach Hamadanu wybuchła choroba zakaźna, nader śmiertelna, której natury dotąd jednak nie zdołano określić. Złowrogą tę wieść, zdumiewającą rządy, mogącą przyprawić o znaczne straty turecki zarząd służby zdrowia i wzbudzającą trwogę pośród ludów, należało stwierdzić w ognisku zarazy.

Zawsze podejrzane warunki zdrowotne w Azji narażają lekarzy sanitarnych na kłopoty często przechodzące zakres służbowy. Nie dość bowiem, że w pewnych punktach rozrzuconych wzdłuż pogranicza turecko-perskiego, znajdujący się lekarze i strażnicy sanitarni obowiązani są czuwać nad przybywającymi z różnych stron Persji pielgrzymami, badać ich samych i rewidować ich manatki w celu przekonania się czy nie ukryto w nich choćby tylko cząstki jakiegoś prawowiernego nieboszczyka, to jeszcze w razie nadejścia wieści, że w tej lub owej prowincji panuje choroba zakaźna, bywają oni tam wysyłani w celu zapewnienia się o istotnym stanie rzeczy.

Pierwszą wiadomość o wybuchu choroby zakaźnej w okolicach Hamadanu puszczono w świat w pierwszej połowie stycznia 1887. Użyto do tego prywatnej korespondencji, która najpierw doszła do Teheranu. Wieść tę zaczęto komentować w rozmaity sposób. Najbardziej interesowane poselstwo tureckie pospieszyło zawiadomić zarząd służby zdrowia w Stambule, wskutek czego postanowiono, że jeden z lekarzy, pozostający w Iraku, ma się udać do Persji, dotrzeć do miejsc dotkniętych zarazą i przeprowadzić studja.

Nim postanowienie to doszło mnie w Zobartye, upłynęło 4 tygodnie, tak że dopiero w końcu lutego mogłem puścić się w tę nową pogoń za groźnym wrogiem ludzkości.

Czas naglił. Międzynarodowa rada zdrowia w Stambule wymagała spiesznej wiadomości o zarazie, od której zależało zarządzenie środków ostrożności na całem pograniczu. Postanowiłem więc co rychlej dostać się do okolicy dotkniętej zarazą, aby tam prze-

konać się o istotnym stanie tej groźnej kwestji. Zaraza grasowała w okolicy zwanej doliną Sırderut, położonej w departamencie Karagan na północ od Hamadonu. W towarzystwie jednego tylko przewodnika, który sowicie opłacony zdecydował się ruszyć do miejsc ogólną wzbudzających trwogę, dotarłem do miejscowości Mansurabad. Tutaj też rozpocząłem moją właściwą czynność.

Najbardziej naglącem było zapewnienie się o naturze choroby. Ponieważ zaś lekarze perscy już przed paroma tygodniami opuścili miejscowość, w której wypadło mi przeprowadzić ścisłe poszukiwania, byłem więc zmuszony wziąć się do pracy samoistnie, aby zebrać potrzebne mi szczegóły. Było to rzeczą trudną i stawiającą mnie w zbyt przykrej sytuacji wobec zdziwionych mojem przybyciem mieszkańców. To też wszystkie wiadomości, jakie udało mi się zebrać, zawdzięczam wyłącznie spotkanemu w Mansurabadzie podróżującemu kupcowi nazwiskiem Sadet-Kuli, który przybywszy tu z Teheranu, wskutek wybuchu zarazy nie mógł skończyć swych interesów będąc zmuszony do dłuższego tu pozostania. Za jego więc pośrednictwem i po odszukaniu czterech mężczyzn, którzy jakkolwiek dotknięci zarazą, uniknęli jednak nieszczęśliwych jej następstw, mogłem już zrobić pewien krok naprzód.

Zaraza wzięła swój początek w wiosce Hay i ztąd rozszerzyła się na dalszą okolicę. Z Hay zaraza została przeniesiona do pobliskiej wioski Odżak przez pewnego Aliger Razak. Ten powracając z miasteczka Achczecharaba, drogą prowadzącą z Hay do Odżaku, znajduje bawełnianą chustkę. Zadowolony obwija nią głowę i po powrocie do domu ofiarnje żonie znaleziony przypadkiem podarek. Z upływem dwóch dni 13 osób z rodziny Razaka staje się ofiarą przywleczonej zarazy. W ciągu następnych 9 dni zaraza szerząc się z nadzwyczajną siłą zabrała 32 osób, Pomimo. że zaraza w Hay i Odżaku panowała już od 2 tygodni, mieszkańcy wiosek położonych w pobliżu pozostawali z sobą w dawnych nieprzerwanych stosunkach. W ciągu tego okresu czasu jeden z mieszkańców wsi Mansurabad nazwiskiem Kerbert-Ali-Kerem udał się do Odżaku w celu odwiedzenia swych krewnych, niewielkie przywiązując znaczenie do szerzącej się tam choroby, przekonany jednak zdaniem pewnego Mołły, że choroba ta jest zaraźliwą, może się zatem przerzucić i do jego siedziby, z pośpiechem udaje się do miasteczek Kerrun i Harakan angażuje tam czterech „Seidów", otoczonych aureolą świętości, którzy za cenę 200 tumanów (2000 franków) decydują się ruszyć do Mansurabadu aby swemi modłami zabezpieczyć wioskę od możebnego zakażenia. Droga prowadziła przez Odżak, do którego jednak nie zaglądają, spiesząc co rychlej na intratne stanowisko. Zaledwie jednak przybyli do domu Kerema i wypoczęli tu jedną noc, jeszcze przed rozpoczęciem modłów dwóch „Seidow", zapada i przedstawiając wszelkie objawy zakażenia, po 19 godzinach cierpień śmiercią przypłaca swe fanatyczne przedsięwzięcie. W ciągu następnych 8 dni właściciel domu, dwie jego siostry, pięcioro dzieci, młoda służąca i dwóch zarezerwowanych „Seidów" płacą straszny haracz za swe ślepe i nadzwyczajne zaufanie w możność uniknięcia zarazy drogą opłaty. Tutaj pośrednikiem w przeniesieniu zarazy był właśnie sam Kerem, który zakażony w czasie swego pobytu w Odżaku, udzielił choroby najprzód duchownym, a przez następne przybycie ich do Mansurabadu przyczynił się do rozwleczenia zarazy.

Sąsiadujący z wsiami Hay i Odżak, Mehemed Khan, właściciel osady Demak, zainstalował rodzaj łańcucha sanitarnego, zakazując swoim poddanym pod karą śmierci wszelkich stosunków z mieszkańcami dotkniętych miejscowości. Te środki ostrożności choć wykonane bezładnie, swojskim tylko zwyczajem, wprowadzone jednak na czasie, bardzo się przyczyniły do ograniczenia zarazy.

Wysłani przez rząd perski lekarze wywiązali się ze swego zadania nieszczególnie. Raport złożony przez nich brzmiał, że nie wiedzą oni, do jakiego rzędu chorób zakaźnych wypada zaliczyć epidemję. Przy dobrej woli lekarzy perskich można było znaleźć dla niej właściwą nazwę i miejsce w szeregu zakaźnych stanów patologicznych. Że zaś to nie nastąpiło, więc mnie przypadło w udziale rozpoznać chorobę, co nie było łatwem przy trudnościach, jakie tu spotykałem na każdym kroku. Gdy jednak udało mi się zebrać kilkanaście spostrzeżeń kazuistycznych w Hay i w Mansurabadzie, nie można było dłużej wątpić, że chorobowe objawy były dżumą w najgwałtowniejszej jej formie.

Wszystkie przypadki dżumy cechowały się gwałtownym i szybkim rozwojem. Po kilkogodzinnym stanie gorączkowym z ciepłotą 41·4°, któremu towarzyszyła nieprzytomność lub tylko odurzenie, występowało naprzód zapalenie gruczołu przyusznego. Przytem chorzy czuli drące bóle pod pachami i w pachwinach. Gruczoły tych okolic obrzmiewały a pokrywające je powłoki skórne przedstawiały barwę fioletową. Jednocześnie cały dostępny dotykowi system zwojów limfatycznych przedstawiał stan zatkania z wyjątkiem gruczołu sutkowego i podkolanowego. Po ukazaniu się karbunkułu lub tylko kilku wąglików, występowały krwotoki z nosa. Wkrótce potem wymioty treścią zawierającą śluz lub żółć, najczęściej jednak ciałka krwi. Mocz oddawany w bardzo skąpej ilości zawierał krew. Czynność narządu trawienia była stale powstrzymaną. Tylko u dzieci uważano biegunkę wodnistą z ciałkami krwi. Chory od chwili zapadnięcia pozostawał stale w stanie nieprzytomności. Stan ten trwał 7—11 godzin. Wreszcie po wystąpieniu plam, powstałych z wynaczynienia krwi i dowodzących głębokiej jej zmiany, chory umierał. Prócz wymienionych objawów obrzmienie wątroby i śledziony dało się wykazać we wszystkich przypadkach.

Z tych względów zdefinjowałem zarazę w moim sanitarnym raporcie do międzynarodowej rady zdrowia w Stambule, jako dżumę, a z praktyki i przeprowadzonych studjów zapewniłem się o trojakiej formie dżumy: gwałtownej, ostrej i przyostrej. Pierwsza z tych form trwa 7—11 a najwięcej 14 godzin i kończy się zawsze fatalnie. Drugą formą ostrą z przebiegiem powolniejszym nie dłuższym jednak nad 2 doby poznaliśmy w r. 1886 w Iraku arabistańskim. Śmiertelność w tej formie choroby dochodzi do 87%. Wreszcie trzecią formę z przebiegiem daleko łagodniejszym, dochodzącym do dni 7, obserwowałem w perskim Lurystanie, gdzie liczba przypadków nieszczęśliwie zakończonych wynosiła 50 na 100. Chorzy, dotknięci tą formą zarazy, przedstawiają jedynie objawy następowe: powikłania często bardzo groźne, jakie miałem sposobność obserwować w Iraku.

ZROSLI z ZIEMIĄ.

OPOWIADANIE

przez

KAZIMIERZA LASKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy). (66)

Całe szczęście, że wiadomość o nieszczęściu doszła Ożgę późnym wieczorem, kiedy już wszyscy spać się kładli, bo mógł przynajmniej ból i zgryzotę utopić w zmrokach nocy, mógł w samotności oprzytomnieć z pierwszego piorunującego wrażenia, mógł kochanej nad wszystko Jadwini kilka ostatnich może godzin spokoju i nadziei darować.

Dla niego znikły one na zawsze. Została mu tylko rozpaczliwa odwaga spojrzenia nieszczęściu w oczy.

Jakoż widział jasno, że teraz już nie ma żadnej rady, że naprzeciw niego idzie ruina, że już go bezlitosną dłonią chwyta, zgnieść usiłuje i... zgniecie.

Noc spędził nad rachunkami. Chciał ściśle poznać stan majątkowy. Nigdy dokładniej nie liczył.

I cyfry powiedziały toż samo: ruina!

Przy najpomyślniejszym zbiegu okoliczności, gdyby się udało sprzedać Kościeszówkę z wolnej ręki, mogło mu się zostać wszystkiego kilkanaście tysięcy... Ale czy się taki kupiec w tych czasach znajdzie? Czy na to wierzyciele dadzą mu czas go wyszukać?

Dopiero proces z Rajzmanem, wynikły z niedość jasno napisanego kontraktu sprzedaży lasu, proces, który groził oddaniem za darmo znacznej części majątku, piętnastu włók poręby, zachwiał energję Ożgi.

Nie łudził się już, że w razie przegranej czeka go ruina, łudził się jednak jeszcze, że przegrać nie powinien. Prawnicy od razu nie robili wielkich nadziei. Ożga nie szczędził kosztów. Proces wlókł się z górą półtora roku.

I ta ostatnia nić, podtrzymująca losy mieszkańców Kościeszówki, sczezła. Ożga przegrał.

Doręczono mu wyrok drugiej instancji, Szaława pisał, że się już kupcy na porębę do Rajzmana zgłaszają...

Ożgę ogarnęła rozpacz. Ugiął się pod tym gromem, zwątpił.

Opuściły go silna wola i ufność, pierś rozdarł beznadziejny smutek.

Zakotłowało mu w głowie, pierś zalała goryczą, wszystkie tętna serca uderzyły bólem, w mózgu dzwoniło żałobnem echem: Stracone! wszystko stracone!

Nie było ratunku. Ożga czuł się bezradnym, złamanym, opanowało go przygnębienie, niechęć do wszelkiej walki z zawistnym losem, żal straconych bezowocnie wysiłków. Bierne poddanie się torowało sobie drogę do jego duszy.

W tem wspomniał o żonie, o dzieciach... I zdjął go strach... opuściła odwaga rezygnacji, umysł zaczął przeczyć strasznej rzeczywistości i szukać jakiej „dobrej myśli", coby stracone złudzenia zastąpić mogła.

Ożdże brakło siły do wypowiedzenia żonie prawdy nagiej, prawdy bezlitosnej... Jak przedtem odrzucał, tak teraz łaknąć począł choćby okruchów nadziei, któreby rozmiar nieszczęścia zmniejszyły. Ale nadzieja, raz odbiegłszy, już więcej do jego duszy wrócić nie miała.

I oto dlaczego, unikając widoku swoich kochanych, swoich drogich, wybiegł z domu i szedł teraz w szczere pola, pod niebo jasne w samotności przetapiać smutek i zgryzoty!

Lipcowe słońce dogrzewało silnie, bieląc półdojrzałe niwy. Od zachodu pociągał wiatr ciepły, biegł grzbietem pól, przesmykiem miedz przelatywał, bruzdami w środek zboża się wciskał... Niwy falowały, szeleszcząc ciężkim kłosem. Strząsana wiatrem rosa poranna, spływała po błyszczących w słońcu źdźbłach żyta i pszenicy, chłodząc spragnioną ziemię. Z ziemi bił szmer cichy: dzwoniły koniki polne, cykały świerszcze, ptactwo odzywało się świergotem! ponad ziemią dźwięczała pieśń skowronków, z łanów, pól i łąk płynął pogwar ludzkich głosów. W powietrzu pełno było blasków, ciepła, woni i szeptów radosnych bogatej urodzajem ziemi...

Ożga szedł bez celu. Jarzące słońce rzucało w zasępioną twarz jego ulewę blasków, powiew wiatru wichrzył przeplecione przedwcześnie srebrem płowe włosy, a on szedł, błądząc okiem po okalających polną drogę ścianach ozimin, na nic nie zwracając uwagi, jak gdyby punktu oparcia dla wzroku nie znajdował.

Niekiedy przystawał, tarł chmurne czoło dłonią, czasem chwytał w rękę pęk kłosów, wygniatał twardniejące ziarno, i nie obejrzawszy, rzucał machinalnie w pył drożny. I znów ruszał naprzód z jakimś gorączkowym pośpiechem, jakby przed czemś uciekał lub coś gonił. Minął orzące kouiczysko pługi, przeszedł obok kładących rzepak żeńców, wbrew zwyczajowi nie zatrzymując się nigdzie.

Tylko wzdychał głucho raz po raz, za głowę się chwytał i szeptał drżącemi wargami bezładnie: „Stracone! stracone!"

W miarę oddalania się od folwarku ogarniał go coraz większy rozstrój, coraz donośniej dźwięczało straszne pytanie: co począć?

(Ciąg dalszy nastąpi).

AWANTURNIK.

POWIEŚĆ

(9) przez

Alfreda Assolant.

[Dalszy ciąg].

W tej chwili inny chłop zawołał:

— Obywatelka Klelja jedzie!

Obróciłem się, żeby zobaczyć obywatelkę Klelję. Ah! proboszczu! jesteśmy obydwaj bardzo starzy, ale gdybym miał żyć sto lat, nie zapomnę nigdy jedynej kobiety, tak, jedynej, mogę to śmiało powiedzieć, którą kochałem. Była to młoda blondynka, szczupła, dość słusznego wzrostu, ubrana jak mieszczanki owego czasu. Chustka czarna, jedwabna, skrzyżowała się skromnie na jej piersiach. Była w żałobie, a czarny kolor sukni dziwnie uwydatniał cudowną przezroczystość jej cery.

Tak — odkąd świat światem, piękniejszej istoty nie było pod słońcem. Jej niebieskie, łagodne oczy, płonęły ogniem dumy, a uśmiech posiadał tyle rozkosznego wdzięku, że go słowami opisać trudno.

Zobaczywszy ją, zakochałem się szalenie. Pomyślcie — dotąd żyłem samotnie i nie znałem innej przyjemności nad polowanie i rybołówstwo. Przytem karmiłem się romansami rycerskimi, Ariostem i Tassem, byłem młody, nigdy jeszcze nie kochałem, więc zrozumiecie, że chciałem oddać życie za nią i w jej oczach zginąć.

Zresztą wszyscy wieśniacy patrzyli tylko na Klelję.

— Gdzie proboszcz? — zawołała.

Na to pytanie wszyscy spojrzeli po sobie pomięszanym wzrokiem.

— Czy to jego dom się pali? — spytała znowu. — Gdzież jest były proboszcz Lantomère?

Ponowne milczenie. Pomięszanie wieśniaków wzmogło się.

— Obywatelko! — rzekł jeden nieśmiało — może wyszedł z domu jeszcze przed pożarem...

— Więc jego dom się spalił?

— Obywatelko, pali się jeszcze.

Na te słowa skoczyła lekko na ziemię, gdyż przybyła konno ze służącym i pobiegła ku domowi proboszcza.

Tłumnie pospieszono za nią. Oczom naszym przedstawił się przerażający widok.

Skromny domek, który zamieszkiwał proboszcz, otoczony był do koła płonącemi stodołami i stajniami. Od tych ogień ogarnął dach probostwa i przepalone belki poczęły się walić na strych.

Proboszcz, starzec ośmdziesięciopięcio-letni, przy-

kuty do fotelu podagrą i obsługiwany przez kobietę, także podeszłego wieku i również kaleką, oczekiwał śmierci z rezygnacją, czytając brewiarz przy oknie.

Stara służąca mniej zgadzająca się ze swym losem, krzyczała w niebogłosy! ale nikt się nie odważył pospieszyć na ratunek. Ja sam, przyznaję się, uważałem śmierć dwojga tych starców za nieunikuioną i stałem nieporuszony. Tylko owa młoda dziewczyna sama jedna nie straciła odwagi.

— Dam dwa tysiące lirów w złocie temu, kto ocali proboszcza! — zawołała.

Nikt się nie ruszył.

A jednak dwa tysiące lirów w złocie były na owe czasy, gdy nie widziano innych pieniędzy prócz asygnat, sumą bardzo znaczną. Ale życie droższe niż złoto.

— O Boże! — wykrzyknęła, załamując ręce rozpaczliwie — więc nikt się nie zdobędzie na odwagę?

Nagle wzniosła oczy ku niebu, zmówiła modlitwę i rzuciła się naprzód...

Nie mogę wam wyrazić, jak mnie poruszyła szlachetność jej i odwaga. Dotychczas, chociaż ubolewałem nad biednemi ofiarami pożaru, nie czułem w sobie chęci zaryzykowania dla nich własnego życia! lecz na widok takiego poświęcenia zapomniałem o niebezpieczeństwie.

W chwili, gdy Klelja już rzucała się w płomienie, chcąc się wedrzeć do domu, pochwyciłem ją wpół, przytrzymałem i rzekłem:

— Zostań tu pani. Jeżeli ocalenie ich jest możliwem, dokonam go, lub zginę razem z niemi; ale jeżeli padnę, wspomnij czasem o Robercie de Fenestrange.

Po tych słowach odpiąłem pałasz i pistolety, kazałem wylać na siebie dwa wiadra zimnej wody, aby zmoczyć odzienie i zabezpieczyć je od płomieni; rozpędziwszy się, dalem susa na trzydzieści stóp przez mur i stanąłem nieuszkodzony na drugiej stronie, w wolnej przestrzeni, oddzielającej dom od budynków obok płonących.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wiadomości kościelne. Przeniesieni księża wikarzy: St. Turkiewicz z Błażowy do Sanoka jako dyrygens, J. Grzywa z Sanoka do Błażowy. St. Knap z Sieniawy do Dzikowca.

Dyecezia krakowska. Kanonicznie instytuowani księża: Romuald Szwarc, z Ruszczy na probostwo św. Salwatora na Zwierzyńcu; Wojciech Kowalczyk, kapelan w Sierszy na probostwo w Pcimiu; Franciszek Szewczyk, ekspozyt w Gilowicach, na probostwo w Płazie; Henryk Wędzicha, adm. w Gruszowie, na probostwo tamże.

Mianowani księża: Jan Miodoński prob. w Łodygowicach notarjuszem dekanatu żywieckiego; Andrzej Leszczyński, dotychczasowy kapelan SS. Prezentek w Krakowie, kapelanem fundacji hr. Potockich przy kaplicy Różyców w kościele katedr. na Wawelu; Franciszek Namysłowski, dot. wikary w Milówce, kapelanem cmentarza w Krakowie; Fr. Liptak, były administrator w Ryczowie, przeznaczony na nowo utworzoną posadę ekspozyta przy kościele filjalnym w Stryszawy ad Sucha; Michał Góra, dot. wikarjusz w Białej, mianowany kapelanem i katechetą w Zakładzie w Sierszy przy Trzebini; Michał Królikowski, z posady wikarjusza w Trzebini przeznaczony na posadę ekspozyta przy kościele filjalnym w Gilowcach.

Obowiązki wikarjusza w Trzebini sprawować będą kaplani Zgrom. OO. Paulinów.

Przeniesieni księża: Józef Caputa (*junior*) z Jaworznia do Milówki; Józef Bieniek z Pcimia do Jaworznia; Andrzej Leśniak z Zawoji na ekspozyta do Waxmunda; Adam Rąpała z Osielca do Zawoji; Franciszek Halota, adm. w Płazie, do Bobrku.

Zmarli: w Przytkowicach, prob. miejscowy ks. Michał Harbuit, (30 grudnia 1896), Administratorem osieroconej parafji został O. Henryk Ragan kapłan OO. Bernardynów z Kalwarji Zebrzydowskiej; w Rabie wyżnej, prob. ks. Józef Kwieciński, (7 listopada 1896). Administratorem osier. par. został ks. Jędrzej Murzański, wikary miejscowy; O. Klemens Kobak, kapłan-jubilat z Zakonu OO. Franciszkanów w Krakowie, (5 listop. 1896); ks. Feliks Niziński, emeryt, (13 grud. 1896); S. M. Wacława Bajkowska, ze zgrom. SS. Nazaretanek przy ul. Warszawskiej w Krakowie, (12 listopada 1896); S. Katarzyna Twardówna, z klasztoru SS. Bernardynek przy kościele św. Józefa w Krakowie, (14 października 1896); Matka Marja od Narodz. P. J. Wężyk b. przeor. klasztoru PP. Karmelitanek Bosych na Wesołej w Krakowie, (18 grudnia 1896 r.); M. Joanna Karolina Kaltner, ze Zgrom. SS. Wizytek w Krakowie, (26 grudnia 1896); M. Magdalena Joanna Horacek, ze Zgrom. Córek Bożej Miłości, w instytucie Marji w Krakowie, (4 stycznia 1897); M. Hyacynta Helena Mikułowska, jubilatka ze Zgrom. SS. Wizytek, w Krakowie, (11 stycznia 1897), przeżywszy lat 88, z tych w zakonie 56.

Presbiterat otrzymał djakon Ignacy Gruszczyński T. J.

Święcenia subdjakonatu dnia 19 grudnia 1896 r. otrzymali alumni IV r. seminarjum dyecezjalnego: Michał Czerwiński, Franciszek Fitak, Jan Forła, Karol Hebda, Tomasz Kobiela, Andrzej Kościółek, Franciszek Kozłowski, Michał Małysa, Józef Migdałek, Franciszek Nowak, Stanisław Ochalski, Wojciech Rybak, Wawrzyniec Smółka, Władysław Vrana; z zakonu OO. Jezuitów: Jan Burgiel, Stanisław Sopuch, Maciej Jarończyk, Kazimierz Bisztyga, Stanisław Czarnota, Ignacy Miśtak, Henryk Haduch, Kazimierz Mika, Teodor Lewicki; ze Zgromadzenia księży Misjonarzy: Jerzy Głogowski, Wojciech Grabowski, Jacek Miesopust, Franciszek Trawniczek, Paweł Waszke; z zakonu OO. Franciszkanów: Błażej Bok, Jan Kalsz, Michał Kellar, Wincenty Russel; z zakonu OO. Paulinów: Marjan Sołtysiński; z zakonu OO. Karmelitów Trzew.: Marcin Maciak; z zakonu Braci Miłosierdzia św. Jana Bożego: Taxyl Filkuka.

Dnia 3 stycznia otrzymali święcenia mniejsze alumni III roku, tonzurę zaś alumni II roku; nadto otrzymali tonzurę i święcenia mniejsze klerycy ze Zgrom. księży Misjonarzy: Franciszek Bączkowicz, Zygmunt Bielawski, Wiktor Bieniasz, Franciszek Dembiński, Eugenjusz Kołodziej, Łucjan Lach, Andrzej Prik, Maksymiljan Sołtysek, Bartłomiej Szulc; Rudolf Zdziebło.

CO ŻYCIE NIESIE.

UWAGI.

Rzucono na mnie potwarz, taką sobie zwykłą, szkaradną potwarz, do jakiej tylko nieuczciwy żyd jest zdolny. Właściwie nie miałbym najmniejszego powodu zajmować się podobnem szubrawstwem, gdyby nie to, że zbyt ono jest w naszych stosunkach charakterystycznem, aby można je było zbyć milczeniem. Nie o siebie mi idzie; moim czytelnikom ubliżyłbym, gdybym występował z zaprzeczeniem i obroną. Wystarczy podać tylko do ich wiadomości, że według żyda Feldmana powodem wystąpień moich przeciw p. Kwiatkowskiemu jest okoliczność, iż p. Kwiatkowski odmówił mi łapówki w wysokości 600 złr. i to z funduszów jakiegoś kredytowego związku, którego jest prezesem! Jak wam się ta sensacyjna rewelacja podoba? Co do mnie jestem przekonany, że nawet wśród żydostwa grupującego się około plugawego świstka krakowskiego, to Feldmanowskie łgarstwo musiało spotkać się z silną nieufnością. Ba, ba! Gdyby opinja *Głosu Narodu* była na sprzedaż, choćby za dziesięćkroć razy wyższą sumę, pierwsi zapewne wiedzieliby o tem przyjaciele rozmaitych Propperów, i pierwsi zapewne skorzystaliby z tego w jak najpełniejszej mierze! Bo na to, aby pokusę przekupienia odtrącić, potrzeba chyba takiej nieugiętości czystego, jak kryształ charakteru, jaką poszczycić się może tylko p. radca Kwiatkowski. Dla żydków byłby to geszeft tem większy, że kupiwszy tak tanio sympatje *Głosu* nie potrzebowaliby już za drogie pieniądze utrzymywać tandetnego *Dżennyka*, dla przeciwdziałania naszemu wpływowi. Sami żydzi czuć więc przyznawali z pewnością, że Feldman w łganiu przeholował.

Zdarzyła się jednak rzecz dziwna. Kiedy właśnie jeden z kolegów proponował, aby Feldmanowi odpisać, że w jego potwarzy tyle jest prawdy, ileby było jej w wiadomości, iż członkowie redakcji *Dżennyka* codziennie wciągają do lokalu redakcyjnego po jednem dziecku chrześcijańskim, aby krwią jego zaprawiać mace wobec czego wyrażono tylko obawę, że nasi czytelnicy tę drugą wiadomość chętnie za prawdopodobniejszą by uznali — zjawia się w redakcji ktoś z zapewnieniem, które nas wszystkich wprawiało w osłupienie. Oto według tego zapewnienia „dyrekcji Banku galicyjskiego miało być niezmiernie przykro, że p. Kwiatkowski wbrew honorowemu zobowiązaniu utrzymywania w dyskrecji wszystkich wewnętrznych spraw bankowych, opowiada *urbi et orbi* tego rodzaju historje; wobec czego dano to uczuć p. Kwiatkowskiemu w sposób należyty“. Przeżegnałem się lewą ręką! Dopiero tego dnia dowiedziałem się, że p. radca miejski Kwiatkowski po za sprzedażą węgli, dostawianiem ich za bajeczną cenę miastu, studjowaniem dziejów Hiszpanji i wysługiwaniem się Hirschowi Landauowi, jest dyrektorem czy prezesem jakiegoś związku dla kredytu osobistego przy Banku galicyjskim. Ze związkiem tym nigdy żadnych nie miałem stosunków, ani ich mieć nigdy nie pragnąłem, nie pragnę i nie będę pragnął.

Miałem je natomiast przed laty z Bankiem galicyjskim. Na skandalicznem bankructwie tego Banku, które tylko dzięki przedziwnej apatji akcjonarjuszów nie było roztrząsane przed kratkami sądowemi, rodzina moja straciła swojego czasu znaczną część majątku; od tego czasu instynktownie odczuwałem wstręt do wszystkiego, co z firmą tego Banku miało jakikolwiek, choćby tylko daleki związek, a nauczony smutnem doświadczeniem lękałem się wszelkiego ponownego z tym Bankiem zetknięcia! Skądże więc obecnie nowa tego Banku dyrekcja bierze tak do serca kalumnję Feldmanna i posądza p. Kwiatkowskiego o rzecz brzydką wprawdzie, bo o złamanie słowa, ale z powodu rzeczy stokroć brzydszej, bo szantażu, jakiego rzekomo chciano się na nim dopuścić.

Trzeba było po tej nitce dochodzić do kłębka. I oto pokazało się, że do *Dżennyka* przyniósł potwarz na mnie opiekun funduszów na pomnik Kazimierza wielkiego, osławiony Propper, powołując się na informacje otrzymane wprost od radcy miejskiego, (dostarczającego dla miasta węgle) p. Kwiatkowskiego; że dalej p. Kwiatkowski utrzymuje, iż miał w istocie w grudniu 1896 (a więc wtedy, gdy już od roku blizko piętnowaliśmy jego wysługiwanie się żydom) weksel z moim podpisem na 600 złr. Czy ten weksel podpisałem jako wystawca, czy też jako przyjemca, czy wreszcie jako żyrant, tego sobie szanowny Kwiatkowski nie przypomina, twierdząc, że to jest wszystko jedno. Wszystko jedno dla tego, kto chce popełnić nikczemność i najbezczelniej rzucić oszczerstwo na uczciwego człowieka! Nie jest to jednak wszystko jedno dla mnie, ani zapewne dla tych, którzy sobie wyrobią odpowiednią opinję o postępowaniu potwarcy. P. Kwiatkowski wiedział bowiem bardzo dobrze, o czem ja dowiedziałem się dopiero teraz, że ów weksel wystawiała we własnym interesie drukarnia p. Korneckiego, której rachunki, pokrywane zazwyczaj w gotówce, pod koniec roku wydawnictwo wyrównywa w miarę potrzeby krótkoterminowym wekslem na niewysoką sumę; p. Kwiatkowski wiedział bardzo dobrze, że mój specjalnie podpis na tym wekslu był jedynie przysługą wyrządzoną wdowie i sierotom, którym mam obowiązek dostarczać tak bagatelnej, czysto formalistycznej pomocy. P. Kwiatkowski wiedział bardzo dobrze, że ani ja, ani wydawnictwo nie wchodziliśmy i nie mieliśmy powodu wchodzić w to, czy drukarnia eskontować go wogóle będzie miała potrzebę i gdzie go eskontować zechce. Pan Kwiatkowski wiedział to wszystko — a jednak ukuł kalumnję.

Dzięki temu jesteśmy o jedną naukę bogatsi. Nie wiem czy wydawnictwo *Głosu Narodu* w stosunku z drukarnią będzie jeszcze kiedykolwiek potrzebowało posługiwać się wekslem; wobec nowego niebywałego wzrostu abonentów, prawdopodobnie nie. Jeśliby jednak zaszła tego potrzeba, postawi się niewątpliwie warunek, aby ewentualny weksel eskontowany był tylko w takiej instytucji, w której skład wchodzą sami uczciwi ludzie i w której nie ma ani jednego oczajduszy, pozbawionego poczucia honoru i resztek chrześcijańskiego sumienia.

* * *

W jednym z poprzednich niedzielnych fejletonów obiecywałem czytelnikom, że opowiem im wrażenia z Warszawy, dokąd wyjechałem na uroczystość rodzinną. Niestety w Warszawie byłem tak krótko, że nie miałem sposobności zetknąć się z nikim, ktoby mi mógł udzielić jakichkolwiek faktycznych informacyj, obchodzących szerszy ogół. Nie rozmawiałem nawet z żadnym z kolegów dziennikarzy, którzy z obowiązku swego zawsze coś nowego albo naprawdę wiedzą lub się tylko domyślają. Do sfer, w których się obracałem, dolatywały jedynie słabe echa ruchu, wznieconego przez rzucone ze szpalt niektórych rosyjskich dzienników i popierane przez rząd rosyjski hasła porozumienia z ludnością polską i trzeba przyznać, że przyjmowano je tam ze sceptycyzmem, niestety aż nadto usprawiedliwionym.

Prasa petersburska twierdzi zawsze, że ludność Królestwa dawnoby już pojednała się ze społeczeństwem rosyjskiem, gdyby nie szowinistyczne agitacje płynące z Krakowa; jest to najwierutniejszy fałsz. Ów rewolucyjny Kraków jest tylko wymówką wszystkich łotrostw spełnianych przez Tiedemanów w Poznańskiem i Apuchtinów w Królestwie. Gdzież tu u nas jest to ognisko działań szowinistyczno-patrjotycznych? Zajęci tu jesteśmy tak wyłącznie walką klas i ścieraniem się sprzeczności interesów społecznych; sprawy domowe absorbują nas tak chorobliwie nawet, że może nawet zapominamy trochę o potrzebie utrzymywania narodowej łączności pomiędzy wszystkiemi polskiemi dzielnicami.

W każdym razie to nie ulega wątpliwości, że prześladowanie silniej podnieca gorący płomień uczuć patrjotycznych, niżby to zdołała uczynić najnamiętniejsza agitacja zewnętrzna. Krakowianie przybywający do Warszawy stanowią raczej czynnik uspokajający; dojrzali politycznie, nierozgoryczeni; bezpośrednio, mają daleko trzeźwiejszy sąd o rzeczy i rozumieją bezpłodność nieprzejednanych stanowisk.

Najgorliwsi propagatorowie polityki ugodowej czy pojednawczej (Straszewicz, Smarzewski) otrzymali wykształcenie polityczne w Galicji; dziennik galicyjski *Czas* dochodzi często w zapale ugodowym do absurdów, inne dzienniki nie posuwają zaparcia się siebie tak daleko, ale któryż z nich (z wyjątkiem chyba jakiego pisma pseudohumorystycznego, pozbawionego wszelkiego znaczenia) stara się zachęcać ludność w Królestwie do wrogiego stanowiska wobec państwa rosyjskiego? Żądać od nas wyrzeczenia się wszystkiego, co nam daleka nieodgadniona przyszłość przynieść może, byłoby szaleństwem; ale warunków, wśród jakich w teraźniejszości żyć nam trzeba, nigdzie nie oceuia się tak rozumnie, spokojnie, zimno jak w Krakowie. Spotykają nas nawet często z tego powodu wyrzuty od Królewiaków:

— Dawniej, mówił do mnie jeden z nich, ilekroć jaki krakowianin przybywał tu do nas, przywoził ze sobą oddech świeżego powietrza, podnosił na duchu, budził nadzieję, że błyśnie dzień, w którym wybije godzina wolności i zmartwychwstanie Polska, opowiadał o skarbie narodowym, o organizacji, o armii Sokołów, rozdawał numery *Djabła*, szpilki do krawatek z orzełkami, wzywał do patrjotycznych obchodów... a dziś opowiada nam zaledwie o podniesieniu się oświaty ludu i o jego udziale w życiu publicznem, a na wzmiankę o skarbie narodowym wzrusza ramionami, dodając, że najpewniejszym skarbem będzie utrzymywanie zdrowej, trzeźwej politycznej myśli w zdrowem moralnie i materjalnie społecznem ciele; najlepszą orga-

nizacją organizacja pracy i narodowej solidarności w przemyśle, handlu i wszystkich zakresach normalnego publicznego działania.

„Dzisiejszy Krakowianin nie wierzy w ideę sokolską, mówi nawet, że nie przeszkadza ona przywódcom tej armji odstępować żydowi miejsca na rozwinięcie zgubnego dla naszego przemysłu działania; chwali zaś Sokołów jedynie za to, że przyczyniają się do wzmocnienia sił fizycznych młodego pokolenia. Nawet *Djabeł* podobno się zmienił... Ilekroć o polityce mowa, tyle razy goście krakowscy przestrzegają przed każdym krokiem, który marną daje satysfakcję patrjotyczną a sprowadza tylko nieszczęścia na setki rodzin... Ha... może mają i rację, na rozum rzecz biorąc....

„Znać jednak, że tam wam nikt codziennie serca nie drapie tak jak nam, nikt języka nie wydziera, nikt nie policzkuje i nie kopie — a potem jak przez ironję, nie proponuje w dodatku zbliżenia i porozumienia...“

Oto jak się przedstawia w rzeczywistości dzisiejszy stosunek „krakowskiej agitacji“ do stosunków w Królestwie polskiem. Ale naturalnie prasa rosyjska nie przestanie rozsiewać baśni o szkodliwym wpływie krakowskiego szowinizmu, aby mieć powód do najpotworniejszych denuncjacji i oskarżeń.

Audax.

Malarstwo we Francji.

Ministerjum handlu we Francji stara się obecnie, na podstawie danych statystycznych, określić stanowisko, jakie zajmuje malarstwo w przemyśle krajowym. Niektóre dzienniki zarządziły w tym kierunku badania na własną rękę. Dziennik *Soleil* pisze:

„W Paryżu co rok odbywa się 50 wystaw obrazów. Liczba wystawionych płócien wynosi przeciętnie: w obu wielkich salonach na Polach Elizejskich i Marsowych po 2500 sztuk, w salonie „Niezależnych“ — 1,800; w stowarzyszeniu pań 1,200; w „Union liberale“ — 1,000; w rozmaitych klubach 1,200. Dalej 4,000 obrazów przybywa przeciętnie rocznie do galeryj Durand-Ruel, Petit i do Théatre d'Application; wystawy urządzane przez zamknięte stowarzyszenia lub pojedynczych artystów u Bernheima, Bourret, Boussod i Valadona, Le Bare de Bouteville i Thomassa, zgromadzają razem przeciętnie 1,500 obrazów. Razem można rachować, iż w Paryżu wystawiają rocznie na widok publiczny 16,000 płócien. O tych, które pozostają do chwili sprzedaży w pracowni artystów, nic pewnego, naturalnie, powiedzieć nie można.

Ze statystyki, prowadzonej w salonach, dowiadujemy się, że na każdy obraz potrzeba przeciętnie metra kwadratowego przestrzeni, nie rachując ram, razem wszystkie wystawione w ciągu roku obrazy zajmują przestrzeń 16,000 metrów kwadratowych.

Gdyby obrazy malowano na jednem płótnie szerokości metra, płótno to ciągnęłoby się 16 kilometrów.

Możemy jeszcze zrobić inne zestawienie. Mury Paryża posiadają w obwodzie 39 kilometrów i przeciętnie wysokości 8 metrów. Powierzchnia murów nie starczyłaby na rozwieszenie obrazów, wyprodukowanych w Paryżu w ciągu ostatnich lat dwudziestu.

Koszta materjałów przedstawiają się jak następuje: metr kwadratowy płótna średniej dobroci 6 franków, blejtrama 2 franki, farby przeciętnie na metr kosztują 40 fr., ramy złote 80 fr. Koszty modelu ciężą najbardziej na tej produkcji. Malarz rodzajowy, poniósłszy raz wydatek na pędzle, palety i t. p., ma na dłuższy czas spokój; malarz krajobrazów ma darmo naturę Bożą, ale za to inni muszą drogo opłacać całemi miesiącami modele żeńskie i męskie. Jedno posiedzenie z modelem kosztuje 5 franków, czyli koszty do jednego płótna wyniosą przeciętnie 100 franków. Razem na metr kwadratowy obrazu przypada kosztów 230 franków, co czyni na 16,000 obrazów 3,680.000 franków.

Z temi wydatkami porównajmy teraz cyfry dochodów, osiągniętych ze sprzedaży obrazów w paryzkich handlach artystycznych. Rząd francuski czyni rocznie w salonach zakupów za 40,000 fr., municypalność Paryża za 20,000 fr. (rachując w tem obstalunki). Artyści sprzedają w obu powyższych wypadkach obrazy po cenach zniżonych, gdyż pragnęliby chętnie ujrzeć swe dzieło w muzeum Luksemburskiem lub w ratuszu.

Towarzystwo „des amis des arts“ zakupuje rocznie za 5,000 franków, amerykańscy handlarze wydają przeciętnie na obrazy francuskie 150,000 fr. rocznie. Zakupy amatorów i handlarzy rozmaitych narodowości można obliczać na 250,000 fr. Francuscy kolekcjoniści i zbieracze kupują rocznie 100 płócien wybitniejszych malarzy, płacąc przeciętnie po 5,600 franków, i 1,500 obrazów po 500 franków.

Cyfry te, wtajemniczonym w stosunki nie wydadzą się za nizkie, wiadomo bowiem, iż ceny, podawane przez dzienniki, z łatwo zrozumiałych przyczyn, są zawsze mocno przesadzone.

Niejeden z profanów, czytając ciągle o olbrzymich cenach i sumach, płaconych za dzieła sztuki, zdziwiłby się niepomału, gdyby miał sposobność przekonać się, za jak liche wynagrodzenie pierwszorzędni malarze paryscy pozbywają się swych dzieł. Paryż stał się obecnie miastem, w którem sztuka popłaca gorzej, niż gdzieindziej.

Ogólny dochód ze sprzedaży obrazów, podług wyżej przytoczonego rachunku, wynosi we Francji rocznie 1,715,000 franków, koszty 3,680,000 fr. Deficyt wynosi około dwóch miljonów.

Nie wspominaliśmy nic o wynagrodzeniu za talent i pracę. Część malarzy ratuje się malowaniem portretów, lecz zaledwie jeden na dziesięciu z nich zapewnia sobie byt znośny.

Co znaczą powyżej przytoczone cyfry, wyjaśniać szczegółowo nie ma potrzeby. Materjalna pomyślność małego grona artystów oślepia legjony aspirantów, których nędza ukrywa się przed światem.

Soleil kończy tę niewesołą statystykę następującą propozycją:

„Państwo, zamiast zakładać coraz to nowe szkoły rysunków i malarstwa, dając zachętę młodzieży do obierania karjery artystycznej, powinnoby raczej na drzwiach, wiodących do akademji i muzeów, pomieszczać tablice ostrzegające z napisem: „Zawiadamia się pp. artystów, że sport ich kosztuje kilka miljonów rocznie““.

Zegarek i jego wytrwałość.

Każda większa maszyna, spełniająca te lub inne usługi, jak np. lokomotywa, bywa poddawaną częstej rewizji, dokonywanej co najmniej raz na trzy miesiące i nie rzadko zdarza się, że podczas rewizji takiej, okazują się tu i owdzie ślady zużycia, które należy usunąć, jeżeli mechanizm ma w dalszym ciągu funkcjonować należycie. O tem poddawaniu maszyn wszelkiego rodzaju częstej rewizji wiadomo każdemu i nikogo nie dziwi ta pieczołowitość, najzupełniej usprawiedliwiona. Przeważnie każda maszyna wielka nie pozostaje w ruchu dniami całemi, pracuje przez pewną liczbę godzin, a niekiedy przez czas dłuższy wypoczywa. Oprócz tego, wszystkie jej części składowe, odpowiednio do czynności, jaką mają wykonywać, są zbudowane silnie i mogą wielki opór wytrzymać; maszyna taka nieraz co godzinę bywa naoliwianą — a pomimo to wszystko podlega wielkiemu zużyciu.

Pomyślmy teraz na chwilę o zegarku, zwłaszcza kieszonkowym. Rozmiary oddzielnych jego części są bardzo nie wielkie. Cały tak zw. „werk“ nie może być ani duży, ani gruby, ażeby mógł wygodnie zmieścić się w kieszonce od kamizelki. Dlatego też rozmiary części składowych zegarka nie są obliczone według tego, jaką czynność mają wykonywać, ale muszą być zastosowane do niewielkich przestrzeni miejsca, jakie mają do rozporządzenia. Ostatnie kółka w zegarku poruszają się z nadzwyczajną szybkością. Kółko nad włosem np. wykonywa pięć wahań w ciągu sekundy, a więc 300 w ciągu jednej minuty. Wszystkie części zegarka nieprzerwanie w dzień i noc znajdują się w ruchu; maleńkie osie (czopy) nieraz przez miesiące całe, ba nawet i lata nie bywają naoliwiane, a jednak osie te są bardzo delikatne, średnica ich wynosi niekiedy zaledwie dziesiątą część milimetra. Nieznaczna kropelka oliwy, którą zegarmistrz napuszcza na czopy po ostatniem oczyszczeniu, wysycha powoli, a zegarek idzie wciąż dalej i dalej i dalej, gdyż żaden kontroler, prywatny ani urzędowy nie czuwa nad tem, żeby ta maleńka maszyna została w swoim czasie naoliwioną, a czopy wytarte — wypolerowanemi. Po pewnym czasie tarcie osi o czop staje się coraz trudniejsze, aż nareszcie przewyższa już siłę sprężyny i — zegarek staje. Teraz niesiemy go do zegarmistrza. Gdy zegarek, co się często zdarza, szedł przez lat kilka regularnie, w takim razie właściciel jego wspomina o tem z pewnego rodzaju dumą i powiada: „trzeba go będzie tylko trochę oczyścić, bo przecież szedł doskonale przez czas tak długi i dopiero niedawno temu stanął. Widocznie nic mu nie brakuje.“ Pojęcie to najzupełniej fałszywe. Im dłużej zegarek szedł, tem więcej „mu brakuje“. Jak lokomotywa i wogóle wszelka maszyna o ruchomych częściach składowych, tak samo i zegarek — od największego do najmniejszego — wymaga regularnego naoliwiania, a gdy tego zaniedbamy, o tyle zużycie części ruchomych będzie większe. Nie wielu ludzi zdaje sobie dokładnie sprawę, jaką czynność wykonywa każdy zegar w ogólności, szczególnie zaś kieszonkowy. Następujące cyfry niechaj dadzą o tem przybliżone pojęcie: W zwykłym zegarku kotwicznym (w t. zw. ankrze) kółko rozpędowe ma 18 milimetrów średnicy. Odbywa ono w ciągu sekundy 5 wahań (tam i z powrotem), przyczem za każdym wahnięciem wykonywa półtora obrotu na swej osi. Pomyślmy teraz, że maleńkie to kółeczko, zamiast wahać się w dwie strony, toczy się wciąż po jakiejś drodze. Ponieważ obwód tego kółka wynosi $6\frac{1}{2}$ milimetrów (3,14×18), za każdem zatem wahnięciem przebywa drogę 84,75 milimetrów, w każdej sekundzie 423,75 milimetrów (5×84,75), czyli licząc okrągło 42 centymetrów. W ciągu minuty kółko to przebiega drogę 25,2 metrów długą, w ciągu godziny zaś 1512 metrów, czyli okrągłe półtora kilometra, a w ciągu doby 37 kilometrów.

Jeżeli zegarek taki szedł bezustannie przez lat trzy, co się bardzo często zdarza, to wahadłowe jego kółko przebywało drogę 39,420 kilometrów, czyli mniej więcej akurat tyle, ile wynosi obwód całej kuli ziemskiej na równiku. A oś tego kółka, które tak olbrzymią drogę przebyło, ma zaledwie dziesiątą część milimetra w średnicy!..

Policzmy teraz, że lokomotywa zwykłego pociągu osobowego, czynna codziennie przez dziesięć godzin i przebiegająca na godzinę 45 kilometrów, musiałaby przez 89 dni być w ruchu, ażeby odbyć tę drogę, jaką w ciągu trzech lat odbywa kółko wahadłowe zegarka kieszonkowego. Ponieważ jednak średnica wielkiego koła u lokomotywy jest niemal sto razy większą, niż średnica owego kółka wahadłowego, a zatem lokomotywa musiałaby być czynną przez 8900 dni, t. j. przeszło 24 lat bez przerwy po 10 godzin dziennie, zanimby oś jej kół głównych wykonała tę samą liczbę obrotów, jaką wykonywa oś kółka wahadłowego w zegarku w ciągu trzech lat. Zupełnie podobny stosunek, z niewielkiemi zmianami cyfrowemi, zachodzi i u większych zegarów, stojących czy wiszących, wahadłowych czy sprężynowych.

Cyfry powyżej przytoczone dowodzą, jak wielką jest wytrzymałość zegarka — większą stosunkowo, niż wytrzymałość lokomotywy kolejowej. Dowodzą one z drugiej strony, że każdy zegarek, chociażby chodził najregularniej, musi być przynajmniej raz na dwa lata dokładnie przejrzany, oczyszczony i naoliwiony. Dbały właściciel dobrego zegarka powinien więc przynajmniej co dwa lata zgłaszać się do zegarmistrza, uczciwego i godnego zaufania, a może być pewnym, że zegarek jego przez bardzo długie lata będzie chodził najregularniej i nie narazi go nigdy na zawody. Naturalnie, mowa tu jest o dobrych zegarkach. Tani a kiepski, chociażby najbardziej zachwalany był przez handlarza, wciąż będzie ulegał jakim niedokładnościom, będzie psuł się i stawał, a częsta naprawa pociągnie za sobą koszt tak wielki, że za tę cenę z pewnością możnaby nabyć zegarek wyborny, odpowiedni do czynności jaką ma wykonywać.

KRONIKA.

Kraków dnia 24 stycznia.

Kalendarz kościelny. Dziś Niedziela Najśw. Rodziny z Nazaretu i Tymoteusza, biskupa, męczennika; jutro Nawrócenie świętego Pawła; pojutrze Batyldy i Pauli, wdów i Polikarpa, biskupa.

W kościele księży Misjonarzy na Stradomiu rozpoczyna się od jutra nabożeństwo 40 godzinne.

Kalendarz myśliwski. W miesiącu styczniu wolno polować na: słonki, kozły [rogacze], zające, lisy, jarząbki, cietrzewie, dropie głuszce i pardwy, oraz na wszelkie ptactwo błotne i wodne w ogólności.

Ochraniać należy: jelenie łanie, kozły, cielęta, spiczaki, borsuki, kury głuszcze i cietrzewie, bażanty i kuropatwy, oraz przepiórki i dzikie gołębie.

Kalendarz rybacki. — W miesiącu styczniu wolno łowić wszelkie ryby bez wyjątku, jeżeli mają przepisaną miarę. Ochraniać należy raka zarówno samca, jak samicę.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczął się dziś o godzinie 7 minut 24, zachód przypada o godzinie 4 minut 19, długość dnia 8 godzin minut 55.

Zmiana łunacji: Druga kwadra księżyca przypada jutro 25 bm. o godz. 9 minut 8 rano.

Kupujcie tylko u chrześcijan!

* **Nabożeństwo żałobne.** Za duszę ś. p. Teresy Śmiałowskiej, opiekunki więźniów stanu z przed roku 1846, uczestniczki organizacji narodowej w r. 1863, odprawionem będzie we wtorek dnia 26 b. m., w kościele OO. Kapucynów, o godz. 10 przed południem, nabożeństwo żałobne.

Od p. posła Hompescha otrzymujemy następujące pismo: „Świetna Redakcjo! W *Głosie Narodu* Nr 15 dnia 20 stycznia 1897 w korespondencji z Wiednia dnia 17-go stycznia b. r. w mojej mowie wygłoszonej w Kole polskiem nad budżetem ministerstwa sprawiedliwości zaszły nieprawidłowości, które upraszam łaskawie przy najbliższem wydaniu *Głosu Narodu* sprostować, a mianowicie: pisze korespondent jakobym miał powiedzieć: „że żydzi najrozmaitsze popełniają szachrajstwa i oszustwa, szczególnie przy spadkach a nawet przy małżeństwach; z czem znowu sądy galicyjskie mają dużo do czynienia“. Prawdą jest, iż ja po zeszłorocznym wielkim pożarze w Rudniku dowiedziałem się, że grzechy żydowskich rodziców dla dzieci są w skutkach swych przykre, albowiem dzieci z nieprawidłowych małżeństw pochodzące przy sprawach pertraktacji spadku bywają pomijane zupełnie w sądzie, jak ustawa tego wymaga, i wskutek tego wydarza się często, że 50 lat posiadłość jednej rodziny wposiadaniu nie jest w księgach gruntowych zapisana, że nieraz ustawa o związkach żydowskich ślubach pomijaną bywa, wskutek

tego proszę by można spowodować, aby dzieci za grzechy rodziców nie były karane i by ustawa ta z odpowiedniem uwzględnieniem istniejących stosunków łagodniej była stosowaną. Z wyrazem szacunku *Hompesch*, poseł do Rady Państwa".

Panu posłowi widocznie idzie oto, aby go nie wzięto za antysemitę! Nie ma obawy...

„O względy ludu". Od p. Zygmunta Mikołajskiego otrzymujemy następujące pismo: „Szanowna Redakcjo! W nrze 17 *Głosu Narodu* z dnia 22 stycznia 1897 r. w artykule p. t.: „O względy ludu", znajduje się następujący ustęp, mnie uwłaczający: „Jedynym zdeklarowanym antysemitą tego stronnictwa jest p. Zygmunt Mikołajski, tokarz, b. kandydat do krakowskiej Rady miejskiej, który w swoim czasie ogłaszał z p. Piesnarem krwiożercze przeciwko żydom plakaty i który równocześnie hebrajskiemi literami ogłaszał na Kazimierzu, że z temi plakatami nie ma nic wspólnego, zaledwie dawał do zrozumienia, że to dziennikarze antysemiccy nadużyli jego nazwiska do politycznej intrygi".

Proszę o ogłoszenie w najbliższym numerze szanownego dziennika następującego wyjaśnienia: Nie prawdą jest, jakobym hebrajskiemi literami ogłaszał na Kazimierzu, że z plakatami krwiożerczemi przeciwko żydom nie mam nic wspólnego. Uczynił to jedynie p. Piesnar, za którego ja odpowiedzialności brać nie mogę. *Zygmunt Mikołajski.*"

Przygotowania do przyszłych wyborów do Rady państwa w Krakowie są już w pełnym toku. Pośpiech ten jest zupełnie usprawiedliwiony wobec pomnożenia liczby wyborców o 14.000, tyle bowiem liczy V kurja ogólna; kurja zaś II miejska liczy przeszło 5.000 wyborców. Przygotowaniami do wyborów zajmuje się wydział przemysłowy pod kierunkiem dra Alfreda Schlichtinga, sekretarza Magistratu.

Dyrekcja generalna kolei północnej przychyliła się do żądania przewodniczącego „Koła polskiego" p. Jaworskiego i przenosi wszystkich urzędników kolei północnej nie władających językiem polskim, do służby na liniach niemieckich. Z Krakowa odchodzi 6 urzędników. Czyby za tym przykładem nie poszła Dyrekcja poczt i telegrafów, która posługuje się zwłaszcza w niższych stopniach służby Niemcami lub Czechami. Wszak chyba mamy dosyć swoich, którzy próżno kołaczą o stały kawałek chleba. Niemcom i Czechom świat otwarty daleko szerszy niż naszym. Pamiętać się o tem godzi!

Sekcja ekonomiczna Rady miejskiej, prócz załatwienia spraw, o których już poprzednio podaliśmy, powzięła także uchwałę w sprawie zawarcia kontraktu z rządem, co do darowanych przez fundację Lubomirskich, gruntów pod ulicę księcia Lubomirskiego a sprawę regulacji ulicy na wniosek radcy m. Biborskiego, odesłano do budownictwa miejskiego. Ulica ma być z 12 metrów rozszerzona do 15 metrów.

W najbliższym czasie ma przyjść pod obrady Sekcji ekonomicznej plan przebudowania budynku magistratu, wybudowania skrzydła, tudzież przebudowa domu po ś. p. Rydzowskim, przeznaczony na mieszkanie dla każdorazowego prezydenta miasta. Przy przebudowie tej, zburzone zostaną: cały budynek, w którym mieszczą się biura Wydziału V. składy ekonomatu miejskiego i budynek po ś. p. Rydzowskim. Sprawa przebudowy jest dla urzędników i publiczności, mającej styczność z odnośnemi biurami, bardzo ważna. Dzisiejsze niewygody bokiem już wyłażą. Resztą będzie to zgodne z wolą ś. p. Rydzowskiego, fundatora.

Z Uniwersytetu. Pp. Stanisław Wincenty Dobrowolski, rodem ze Lwowa, Jan Feliks Gans i Józef Andrzej Ignacy Latkowski, rodem z Krakowa, otrzymali w dniu 23 b. m. na Uniwersytecie krakowskim stopień drów wszech nauk lekarskich.

* **XVIII walne zebranie** Tow. Bratniej pomocy kelnerów w Krakowie, zagaił w piątek w sali braci Johnów przewodniczący p. Adolf Zdrój, zaznaczając rozwój Towarzystwa tak pod względem liczby członków, jako też wzrostu kapitału. Członków w roku ubiegłym przybyło 45. Majątek Towarzystwa mimo, znacznych wydatków, wzrósł o 700 zł., co zawdzięczać należy hojnej ofiarności członków. Po uczczeniu pamięci zmarłych towarzyszy, odczytano protokół z ostatniego walnego zgromadzenia. P. J. Streit, imieniem komisji kontrolującej, prosił o udzielenie absolutorjum wydziałowi, co też obecni uczynili. Następnie większością głosów wybrano przewodniczącym komisji kontrolującej na rok 1897 p. Franciszka Wójcickiego, pp. Wilhelma Urszla i Pawła Głowackiego, zaś członkami. Prezesem Towarzystwa na rok bieżący wybrano przez aklamację ponownie p. Adolfa Zdroja. Do wydziału weszli pp.: Fr. Szauer, Józef Siebel, St. Kwiatkowski, Lud. Franczek, St. Ropek, J. Sowa, St. Włoch, M. Trzciecki, J. Morawski, J. Niedzielczyk, W. Bocheński i Kaz. Matras. Zastępcami wybrani zostali pp.: Waw. Auriga, J. Bojarski, Ed. Trojan i H. Kaufman. Majątek Towarzystwa wynosi ogółem 4145 złr. i 1 cnt. Członków honorowych liczy Towarzystwo 10, wspierających 8, członków rzeczywistych 145.

* **Wykład bezpłatny.** Staraniem zarządu głównego krak. Towarzystwa Oświaty ludowej odbędzie się w niedzielę d. 24 b. m., o godz. 3 po poł., w sali gimnazjum św. Anny, czwarty bezpłatny wykład popularny dra Stanisława Kozłowskiego: „O legjonach polskich" (dokończenie). Młodzież niżej lat 14 nie ma wstępu na wykłady.

* **Ślub.** W kościele św. Barbary, d. 30 b. m., o godz. wpół do 7 wieczorem, pobłogosławiony zostanie związek małżeński panny Stefanji Chrościechowskiej, córki Jana Bończy, z p. Kazimierzem Prus Zajączkowskim, synem Józefa.

* **Z Rady powiatowej krakowskiej.** Wydział Rady powiatowej krawowskiej odbył posiedzenie pod przewodnictwem prezesa dra Fr. Paszkowskiego. Głównym przedmiotem były bieżące sprawy administracyjne powiatu i gmin, załatwione bez zasadniczej rozprawy. W sprawie dróg gminnych uchwalono wykonać kilka robót za gotówkę z powiatowego funduszu dróg gminnych, a nie drogą prestacji, w łącznej kwocie 2.839 złr. 98 ct.; roboty te uchwalono wykonać drogą przedsiębiorstwa, na które rozpisaną zostaje licytacja. Można mieć nadzieję, że włościanie, którzy, jakby wnosić należało z wniosku p. Czekajskiego, tak gorąco domagali się zawiadomienia o licytacji, zechcą teraz skorzystać z rozpisanej licytacji i i złożyć swoje oferty, tem więcej, że przedsięwziąć się mające roboty są łatwe i dla włościan przystępne. Roboty te są następujące: budowa mostów o przyczółkach murowanych z pokładem drewnianym w Cholerzynie za kwotę 727 złr. 85 ct., we Wróżenicach za kwotę 435 złr., w Wyciążach za kwotę 249 złr. 82 ct. Rekonstrukcja dróg gminnych, mianowicie szutrowanie i roboty ziemne, w Mnikowie za kwotę 927 złr. 28 ct., w Aleksandrowicach za kwotę 500 złr. Wydział uchwalił w wykonaniu wniosku posła Wójcika odnieść się do dyrekcyj tutejszych szkół średnich o wskazanie ubogich uczniów z powiatu, po trzebujących zapomogi na sprawienie mundurów. Co do wniosku o uczestniczenie w licytacjach, celem przeszkodzenia spekulantom w obniżaniu wartości sprzedawanych przedmiotów włościańskich, uchwalono odroczenie, sprawa bowiem wymaga większych przygotowań.

* **Przez pomyłkę** druku zawierała wczorajsza nasza depesza z Wrocławia wiadomość, że mordercę bankiera Kohna, Włodarskiego, aresztowano w Krakowie. Włodarskiego przytrzymano w Szczakowej.

Grojse szyk. Żydowskie pisemko krakowskie zamieściło w kronice notatkę, z której wyjmujemy co następuje: Jedna z najbardziej ożywionych zabaw tego karnawału, który mało publicznych, zato dużo prywatnych zapowiada balów, odbyła się onegdaj u pp. Propperów. Nietylko ożywione tańce, lecz także dobór towarzystwa, ton prawdziwie europejski (!) w tym przybytku sztuki i gustu (!) atmosfera serdeczna i ochocza, która wszystkich ogarniała — wszystko to złożyło się na całość i wykwintną i niezmiernie ożywioną. Między obecnymi zauważyliśmy pp. Blatteisów, mec. Eibenschützów, Ichheiserów, Mich. Kaufmanów, Kohnów, Lustgartenów i t. d.

* **Zawsze oni.** W ostatnich czasach przyaresztowano i odstawiono sądowi karnemu w Krakowie żydówkę, poprzednio kupcową galicyjską a obecnie węgierską. Żydówka ta osiadłszy w Lubowni (Lublö) umiała tak zręcznie w tej mieścinie manipulować, iż à conto pieniędzy jakie miała dziewięć lat temu (kilkaset złr.) potrafiła wyłudzić od współwyznawców przeszło 40.000 złr. Niemogąc już dalej motać w Lubowni, przeniosła się „pajęczyca" do Galicji, gdzie wpadła w sieci dawno czekającej na nią sprawiedliwości!

* **Kronika policyjna.** Złodziejkę, która okradła weterynarza powiatowego w Wieliczce p. O. Lille, przytrzymano wczoraj na dworcu kolejowym w Krakowie. Poszkodowany odebrał wszystkie rzeczy wartości około 50 złr., przeważnie srebro. Policja prowadzi dochodzenie dla sprawdzenia nazwiska złodziejki, posiadającej sfałszowaną książkę służbową na nazwisko Katarzyny Ulrich, a podającej się za znajdę. Od szóstego roku życia do ostatnich świąt Bożego Narodzenia, przytrzymana przebywała w Rumunji, gdzie rzekomo jej służbodawca miał umrzeć. Złodziejka, która jest Czeszką, a jak twierdzi, książkę otrzymała od nieznanej pani w Peszcie, została odfotografowana.

* **Z dyrekcji kolei.** Z dniem 18 stycznia b. r. została w Czechach otwartą kolej lokalna Cerčan-Krhanic, ze stacjami Poritsch nad Sazawą, Tejnitz nad Sazawą i Krhanitz, dla ruchu ogólnego.

Chleb dla swoich. Piszą do nas: W Tarnowie umarł w tych dniach ogólnie lubiony i szczerze szanowany obywatel i zegarmistrz tamtejszy, Szczęsny Boczkowski. Szlachcic z rodu, był jednak typem prawdziwego mieszczanina; ukochał on prawdziwie miasto Tarnów, pomimo że nie było jego rodzinnem. Po zmarłym pozostał się sklep, który rodzina zmarłego z braku odpowiedniego następcy, zmuszoną jest zwinąć. Byłoby dobrze, gdyby który z młodych subjektów chrześcijan z Krakowa zajął ten posterunek. Poparliby go w Tarnowie wszyscy księża, obywatele z okolicy, oraz cała inteligencja. Zegarmistrz tutejszy ma zapewnione roboty kolejowe, które znaczną korzyść przynoszą.

W Rychwałdzie koło Żywca odbyło się za staraniem ks. Siewierskiego przedstawienie „Jasełek". W pięknie udekorowanej sali szkolnej przepełnionej publicznością tak z Rychwałdu jak i z okolicznych gmin, dzieci szkolne odegrały znakomicie mysterjum; odznaczył się przedewszystkiem chłopak przedstawiający Heroda. Do powodzenia „Jasełek" przyczynił się wielce poczmistrz miejscowy p Leon Łabędź, który z całą gorliwością zajął się częścią muzyczną i wokalną przedstawienia.

Rozwiązanie wiecu. W ostatnim numerze *Diła* czytamy, iż starosta z Zaleszczyk p. Studziński, reskryptem z dnia 19 b. m. wstrzymał projektowany wiec Rusinów w Dźwiniaczce rzekomo dlatego, że ten miał się odbyć w stodole; a więc w budynku łatwo zapalnym. Starosta powiada, że wielu z zebranych na wiecu pali papierosy i cygara, co mogłoby spowodować nieszczęście: pożar.

Mamy więc nowy pretekst do krępowania swobód konstytucyjnych!

* **Z Łodygowic** piszą do nas: W niedzielę d. 17 b. m. odbyło się walne zgromadzenie nowozawiązanej straży ochotniczej pożarnej, w celu wyboru wydziału. Prezesem został jednogłośnie wybrany ks. Jan Masny, miejscowy wikarjusz, naczelnikiem p. Wojciech Worek, sekretarzem p. Roman Worek.

* **Ruch wyborczy.** Wybory do Rady państwa zostały rozpisane w Czerniowcach. Z powszechnej kurji odbędą się wybory 4 marca, z gmin wiejskich 10, z miast 12, z Izb handlowych 14, a z wielkiej własności 15 marca.

Pożar. Z Łodzi donoszą pod datą 22 b. m. Wczoraj zgorzał tu gmach fabryczny Bialera i Bromberga przy ulicy Mikołajewskiej. Gmach ten dzierżawili bracia Bukietowie, wyrabiający chustki półwełniane i żyd Silberzweig, mający tkalnię bawełny. Straty są bardzo poważne; dochodzą 150.000 rs. Fabryka była ubezpieczona w trzech towarzystwach.

Dwadzieścia lat bez ubrania. W wydanej niedawno w Krakowie broszurce dr Lahmanna pod tytułem „W jaki sposób odzyskamy zdrowie" znajdujemy ciekawy i uwagi godny artykuł, zaczerpnięty z nowojorskiego dziennika *Recorder:* Jest pewien zamożny człowiek, który nie nosi ubrania z powodów naukowo-hygienicznych. Ten opalony olbrzym, który od 20 lat chodzi nago, jest rządcą zatoki Oakland. Całe jego ubranie składa się z pasa i pary bawełnianych *caleçon de bain*. W swoim pasie nosi on długi sztylet a na ramionach spoczywa rusznica. Przepisuje on wszystkim promom, yachtom, holownikom itp. kierunek, w którym mają jechać. Nagi ten olbrzym jest w służbie departamentu wojennego Stanów Zjednoczonych. Na pokładzie swojego okrętu stoi on prosto jak posąg bronzowy Ajaksa. Jest on dla całej okolicy postrachem. Wysoki i wspaniale proporcjonalny, mierzy 6' 3" (ang.) i waży 200 funtów (ang.) Od lat 20 stawia czoło wszystkim klimatom świata. Tym oryginalnym człowiekiem jest kapitan Edward A. v. Schmidt a oprócz chwil, w których pokazuje się na ulicach miasta, chodzi od lat 20 prawie zupełnie nago. Obecnie polecił mu rząd wyszlamowanie kanału Oakland, które odbywa się pod kierunkiem związkowego departamentu wojennego. Przez redaktora „San Francisco Examiner" zapytany, dlaczego nie nosi ubrania jak inni mieszkańcy tego klimatu, odpowiedział krótko: „Przez wzgląd na zdrowie!" W odpowiedzi na dalsze pytanie opowiedział w dwugodzinnej rozmowie swoje wielce ciekawe koleje życia.

„Czy mi czasem nie jest zimno?" — wtrącił. „Nie, tak jak mnie pan tu widzisz teraz, przebiegałem przez lat 20 wszystkie klimaty i części ziemi. Mniemanie, że tylko w gorących krajach można nago chodzić, jest zupełnie przewrotne. Hittel w swojej historji Kalifornii zwraca uwagę na wpływ cywilizacji na Indjan. Gdy hiszpańscy misjonarze, nawróciwszy dzikich na Chrześciaństwo, zaczęli ich ubierać w odzież, Indjanie wymierali zwolna na choroby płuc. Moja filozofia ubrania a raczej „nieubrania" opiera się na naukowych zasadach. Pory skóry oddychają powietrzem i powinny także wciągać wsiebie promienie słońca, a mianowicie powinny pory tułowia być dla słońca i powietrza zawsze otwarte. Uczeni niemieccy polecają teraz suchotnikom nago chodzić. Ja pochodzę z suchotniczej rodziny. Kiedym był jeszcze chłopcem, wyprorokowano mi, że umrę przedwcześnie na suchoty. Tu olbrzym westchnął głęboko, a wspaniale rozszerzona klatka piersiowa świadczyła, jak mało troszczą się fakty o honor proroków. „Tak jest", mówił dalej olbrzym, „a ja przez pewien czas studjowałem medycynę, moi koledzy zaś mówili o moich słabych płucach; a gdym się puścił na morze, przyjaciele moi myśleli, że już więcej nie powrócę. Otóż tam, w krajach gorących, nosiłem bardzo mało odzieży, a im mniej nosiłem, tem lepiej się czułem, gdym zaś znowu więcej wdział na siebie ubrania, nie czułem się tak dobrze. W rok później przepłynąłem okręt przez cieśninę Magellana i spostrzegłem, że mieszkańcy kraju Ogniowego chodzili nago po śniegu. Widziałem starców, silnych i rzeźkich, matki, które swoje dzieci karmiły, wszyscy nago i wszyscy żwawi w ruchach i silnie zbudowani; wtedy powiedziałem sobie, że znalazłem tajemnicę zdrowia. Od tego czasu ubieram się tak jak owi silni mieszkańcy tego mroźnego kraju — jak mnie pan tu teraz widzisz". Kapitan Schmidt jest żonaty i ma czworo dzieci. „Moją żonę", rzekł, „poślubiłem w Melburnie. Ona także podziela moje pojęcia o ubra-

niu. Naturalnie nie chodzi ona tak jak ja, ale, o ile w stosunkach towarzyskich uchodzi, przestrzega tych samych praw natury. Dzieci swoje ubieramy także według praw natury i nie wydaliśmy jeszcze ani szeląga na lekarza lub lekarstwa".

Śmierć cara Pawła I. Niedawno temu wyszło z druku w Genewie dzieło znanego przyrodnika Raula Pictet, z którego jeden nader zajmujący ustęp podajemy poniżej w przekładzie. Sam utwór nosi tytuł: *„Etude critique du materialisme et du spiritualisme"* („Studyum krytyczne o materjalizmie i spirytualizmie"). Nas zajmuje w nim najwięcej następujący ustęp: „Przytaczam tu opowiadanie o zdarzeniu historycznem; dotyczy ono zamordowania Pawła I, cara rosyjskiego (15 stycznia 1801 r.), a mam je od naocznego świadka. Ciotka moja, zmarła w 1814 r. mając 93 lat), wychowana i przeznaczona była od najmłodszych lat na damę honorową przy boku cesarzowej. Będąc na dworze, zauważyła, że otoczenie cesarza Pawła postanowiło za jakąbądź cenę wymódz na nim zrzeczenie się tronu. Na kilka dni przed wykonaniem spisku widoczne było pewne zaniepokojenie w salonach pałacu. Nie uszły uwagi mojej krewnej tajemnicze szepty po kątach i pełne niecierpliwego oczekiwania miny. Wreszcie sam car poznał, że coś się przeciw niemu knuje, odsunął się przeto i niejako podwoił ostrożność. W wilją zamachu było we dworze wielkie przyjęcie, na które wszystkie znakomite osobistości i całe ciało dyplomatyczne otrzymało zaproszenie. Około północy opuściła ciotka moja salony i udała się do swego pokoju, w celu napisania listu do ojca, naówczas marszałka Inflant. Około godziny drugiej usłyszała na korytarzu niezwykły szmer. Przejęta trwogą, chwyciła lichtarz i pobiegła ku drzwiom; otworzywszy je, ujrzała w tejże chwili przebiegającego hr. Pahlena i czterech innych panów, niezwykle wzburzonych. O tem, co teraz nastąpiło, opowiadała mi ciotka niezliczone razy, z tem samem zawsze wzruszeniem.

„Nie wiedząc co czynię — opowiadała — pchana niewidzialną jakąś mocą, będącą dla mnie dziś jeszcze zagadką, pobiegłam wzdłuż korytarza za hrabią Pahlenem, prawie nieubrana, aż do pokoju cara. Cicho było dokoła. Pierwszy do pokoju wszedł Pahlen z białym zwiniętym papierem w ręku, za nim wsunęli się pozostali czterej panowie i ja. Car siedział za stołem i pisał. Hr. Pahlen temi słowy doń przemówił: Wasza Cesarska Mość zechce, ze względu na własne dobro państwa zrzec się tronu. Stan zdrowia Waszej Cesarskiej Mości tego wymaga. Wszyscy lekarze, a z nimi my wszyscy, doszliśmy do przekonania, że to jest nieodzownem. Oto przynosimy z sobą akt zrzeczenia się korony, do podpisu". Na te słowa car usunął się nieco za stół. Na tym stole, bardzo ciężkim, stał pięcioramienny kandelabr, przyrządy do pisania i przycisk z malachitu, opatrzony ciężką kulą na szerokiej podstawie. W chwili gdy hr. Paalen pewnym głosem powyższe słowa wymawiał — przysunęli się pozostali do samego stołu, po drugiej stronie którego car instyktownie się odsuwał, starając się powiększyć odległość dzielącą go od dworzan.

„Widzę — odparł — że nie macie już dla mnie należnego szacunku; sądzicie, że jestem dla was za surowym i chcecie odebrać mi mą godność, by nią powolniejszego obdarzyć następcę. Ale ja się temu sprzeciwiam — sprzeciwiam się temu stanowczo! — tak mówiąc, posunął się z krzesłem swojem pod ścianę.

— Panie — rzekł mu na to Pahlen — żądamy abdykacji za jakąbądź cenę; żądamy jej dla dobra państwa.

To mówiąc, wyciągnął ramię po przez stół i ujął cara za rękę. Car cofnął się; usiłował jeszcze otworzyć wolną ręką ukryte drzwi w ścianie, lecz w tej chwili przewraca się stół i gasną stojące na nim świeczniki, teraz chwyta Pahlen leżący na stole przycisk i uderza nim w skroń cara, przyciskając go jednocześnie drugą ręką ku sobie. Z rozbitą czaszką pada car na ziemię, a w dłoń umierającego wkłada Pahlen pióro i własną ręką akt abdykacji cara Pawła podpisuje. Byłam więc świadkiem mimowolnym strasznej tej zbrodni; stałam z lichtarzem w ręku o parę kroków, osłupiała, z szeroko otwartemi oczyma".

„Sądzę — kończy ustęp ten Raoul Pictet — że opis tej wiele omawianej tajemniczej śmierci Pawła I. tem większego znaczenia i na autentyczności zyskuje, że ciotka moja jedynym tego ponurego zdarzenia była świadkiem".

Z Padwy otrzymujemy następującą odezwę od ks. Jana Warchoła, spowiednika polskiego *al Santo*: Po ogłoszeniu kilku słów o istniejącym ołtarzu św. Stanisława w bazylice św. Antoniego i o projekcie nowej kaplicy dla patrona Polski w miejsce obecnego ołtarza; poznaję z otrzymanych listów i ofiar od rodaków, że nie wszyscy zrozumieli, o co właściwie idzie. Niektórzy mniemają, że rozchodzi się tylko o przeniesienie ołtarza z obecnego miejsca do jednej z kaplic, a więc na to nie potrzeba aż 6 tysięcy złr. w. a. Tymczasem rzecz ma się zupełnie inaczej. Obecny ołtarz mianowicie i obok niego istniejące napisy, świadczące o powstaniu tegoż i kilka pomnikowych tablic, muszą zupełnie usunąć z naw bazyliki, kiedy z odnawianiem całej bazyliki przyjdzie się do tego punktu. O przeniesieniu ołtarza ani mowy być nie może, gdyż lepsze od niego już wysunięto z kaplic, jako nienadające się do stylu pierwotnego, nad przywróceniem którego właśnie pracują. Idzie więc tutaj, by przynajmniej zabezpieczyć raz na zawsze cześć św. Stanisława w tej bazylice, przez poświęcenie mu jednej z kaplic już sprowadzonej do pierwotnej formy. Ołtarz zaś takiej kaplicy musi być, jakim był w stuleciu 14-tem, to jest zwykła marmurowa mensa, na której ma stanąć odpowiedniej wielkości z białego marmuru statua świętego.

Ale by nam oddano na własność taką kaplicę, chcą, by Polacy wymalowali ją sobie i postarali się o powyższą statuę.

Od zebranej sumy zaś zależy wymalowanie jej. By można wymalować dwa wielkie alfreska i kilka innych mniejszych z dekoracją odpowiednią, potrzeba co najmniej 6 tysięcy złr. w. a.

Bez alfresków i tylko same dekoracje na ściany jedną farbą, wystarczy 3 tysiące. Ale sądzę, iż Polacy chcą mieć tutaj kaplicę porządną jak na nich przystało i godną tutejszej bazyliki. Mając kaplicę, wtedy przeniosłoby się do niej owe napisy dawne, lub umieściłoby się nowe odpowiednie, któreby przypominały i dawny ołtarz i powstanie i przez kogo założone. Ktoby się przyczynił do nabycia tej kaplicy kwotą tysiąc złr. w. a. (1000), ten ma prawo, by herby i imię jego były wymalowane na ścianach kaplicy.

Na powyższy cel dotychczas raczyli przesłać na ręce podpisanego Dobr.: Familja Szenic z Kłodzka (Glatz) 1 mr. 90 fen., J. Wesławska 2 liry, M. Kraszduk z Dobrowlan 5 złr., Stan. i Mar. Harczyńscy 2 mr., M. Borowicz 1 mr., Kat. Busz 1 mr., C. Szymankiewicz 4 mr., Adamisowscy 75 fen., Czajrzywska 50 fen., Kokociwscy 75 fen., Staweccy 75 fen., Szymowski 50 fen., H. Szymowska 50 fen., Giezek 50 fen. Sobótka, Skrzypczak i Radoła po 30 fen., Opier 25 fen., Jakubczak i Kaszmerek po 20 fen., jeszcze kilka osób po 10—15 fen., wszyscy z Poznańskiego. N. N. z Petersburga 25 rubli. Hr. M. Plater 100 rubli, za pośrednictwem p. Mal. Lityńskiej ze Lwowa 35 złr. w. a.

Jest to wprawdzie zaledwie kilka cegiełek na podwaliny do tego pomnika narodowego, atoli nie wątpię, że wkrótce ta mała sumka wzrośnie, gdy łaskawi czytelnicy *Głosu Narodu* i innych dzienników przy odnawianiu prenumeraty raczą dołączyć do przedpłaty na *Głos* również i coś na kaplicę w Padwie. Owa korona, czy pół korony dołączone, nie uczyni wielkiej różnicy nikomu z szanownych czytelników, a sprawa kaplicy wiele zyska. Zresztą tacy święci jak ów Stanisław i św. Antoni wynagrodzą stokrotnie tę malutką ofiarę, szanowna Redakcja zaś, myślę, że nic nie będzie miała przeciw temu projektowi, ale zgodzi się na przyjmowanie ofiar i przesłanie ich później do podpisanego. Ktoby chciał zaś, może również przesłać lub zanieść swoje ofiary do któregokolwiek z konwentów OO. Franciszkanów, którzy również zajmują się gorliwie tą sprawą. W taki sposób zaoszczędzi się wiele i pracy i wydatków na poczty. Mogli Niemcy zebrać pomiędzy sobą na podobną kaplicę, którą obecnie malują w Lorecie, co ma być arcydziełem i podziwem piękności. Mogą oni zabierać się do kaplicy w Padwie, a nie mogliby Polacy tego samego dokazać, tem więcej, że tu nie rozchodzi się o tak wielkie sumy?

Zresztą nie piękneby było nawet dla Galicji, gdyby ona sama pozostała obojętną na tę sprawę, podczas gdy inne dwie części Polski gorliwie zajmują się nią.

Mam nadzieję, że *Głos Narodu*, przemówi do serc swoich łaskawych czytelników, a ci odpowiedzą czynami.

Ks. Jan Warchoł,
spowiednik polski al Santo.

Dżuma. Z Bombaju donoszą: Dżuma wybuchła także pomiędzy służbą gubernatora. Dziewięć domów, zajętych przez nią, spalono, a chorych przeniesiono do szpitala. Epidemja przybrała takie rozmiary, że władze miejskie uznały się za bezsilne do owładnięcia nią. Okazuje się stąd cała kłamliwość urzędowych biuletynów angielskich, które przed kilku dniami donosiły, że w Bombaju zachorowało dotąd od początku epimedji ogółem 3.636 osób na dżumę i że takowa się wogóle zmniejsza.

*** Para skarpetek i emancypacja.** Najważniejszem w tej chwili zjawiskiem na widnokręgu „całego świata" jest — para skarpetek!... No, tak: para skarpetek; ale jaka para i jakich skarpetek!... Skarpetki te zrobiła własnoręcznie, z własnoręcznie nasnutej przędzy i ofiarowała swemu mężowi księżna Five, jak wiadomo, z domu ni mniej ni więcej, tylko — królewna angielska! Kądziel odzyskuje dawne swe prawa na dworze angielskim; oprócz księżnej Five, księżniczka Walji różowemi paluszkami z zamiłowaniem bieluchną snuje przędzę; a furczenie kołowrotków w komnatach królewskich zagłusza nawet niekiedy wojenne okrzyki emancypantek, rzucających jak wiadomo, klątwę na to niegodne mężkości kobiecej zajęcie.

Żart żartem, ale ten zwrot królewien angielskich do dawnego patrjarchalnego zwyczaju, może naprawdę zagrozić postępowi dążności emancypacyjnych. Z potęgą prądu emancypacyjnego mierzyć się może jedynie potęga mody, a tembardziej mody, z komnat monarszych początek swój wiodącej. Kądziel gotowa zagnieździć nawet w samych ogniskach emancypacji, a jakiem to niebezpieczeństwem zagrozić może całemu dziełu emancypacyjnemu ten tylko może mieć pojęcie, komu bezgraniczny rozwój posłannictwa kobiecego na świecie na sercu leży. Dlatego też zawiadamiamy o danem zjawisku i ostrzegamy kogo należy. *Caveant consules!* Spełniliśmy swój obowiązek.

*** Handel trupami.** W Nowym Jorku odkryto ładne nadużycia, popełniane przez sferę urzędniczą. Pokazało się, że administratorowie i dozorcy tak zwanej z francuska „morgi" (*la morgue*), a właściwie trupiarni, w której wystawiane bywają na widok publiczny zwłoki ludzi niewiadomych z nazwiska, prowadzili na wielką skalę handel trupami, do których się nikt nie przyznał. Towar ten rozsyłano lekarzom w najdalszych stronach Unji zamieszkałym, a obrót roczny tego handlu dochodził do 50.000 dolarów. Oskarżeni uważają się za niewinnych, utrzymując, że spekulacja ich nikomu szkody nie wyrządziła; nieboszczykom bowiem wszystko jedno, czy będą spoczywać w ziemi w całości, czy w kawałkach, a nie działa się też krzywda i rodzinom ich, jeżeli je mieli, skoro się do nich nie przyznały. Ciekawa rzecz, co w tej sprawie orzekną sądy północno-amerykańskie, znane, jak wiadomo z ekscentrycznych niekiedy wyroków.

*** Małpy w kopalniach.** Czy małpy, wedle teoryj najnowszych, posiadają „swój język" i czy będą kiedy czytać (!) umiały, o tem jeszcze szeroko król Dawid pisał, ale że złoto kopać umieją, to nie ulega wątpliwości. Pewien właściciel kopalni w Transwaalu miał dwie małpki, które brał ze sobą do kopalni. Sprytne zwierzątka jakiś czas przypatrywały się robotnikom a potem same zabrały się do roboty i wykonywały ją tak dobrze, że *uitlander*, anglik naturalnie, liczbę swoich czworonożnych górników pomnożył do 24 i jest z nich niezmiernie zadowolony. Wprawdzie robocie jaką jeden silny górnik wykonywa zaledwie 5 do 16 małp podoła, ale też one zato nie biorą zapłaty, mało kosztują a co najważniejsza... nie kradną!... Jestto nadzwyczaj cenny przedmiot u górnika w kopalniach drogiego kruszczu i pod tym względem anglik ów przyznaje małpom bezwzględnie wyższość nad człowiekiem... No, i bodaj czy nie ma słuszności...

*** 250.000 ludzi wymordowanych przez jednego.** Wyborny paryski dwutygodnik *Revue de Paris* ogłasza szereg interesujących artykułów p. Wiktora Bérard'a p. t: Polityka sułtana. Z dowodami w ręku wskazuje autor, że mordowanie Armeńczyków odbywało się wprost na rozkaz sułtański. Wielkiej zaś wagi dodaje im okoliczność, że, jak zapewnia korespondent jednego z pism wiedeńskich, artykuły owe widocznie są inspirowane przez samego p. Cambon, francuskiego ambasadora w Konstantynopolu, czemu usilnie zaprzeczają decydujące paryskie koła. Cambon bowiem ma być zwolennikiem polityki „żelaznej ręki" i o tyle stoi on na stanowisku wprost przeciwnem zapatrywaniom ministra Hanotaux.

Fakt, iż był wydany wyraźny rozkaz sułtański, nakazujący mordowanie Armeńczyków, podnosi Bérard jako zupełnie stwierdzony, a nie uczyniono nic by go o oszczerstwo pociągnąć do odpowiedzialności. Z dalszych wywodów wyjmujemy ustęp określający obecne usposobienie Turków względem ich monarchy. Kto znał Konstantynopol w latach 1888—1890 — pisze p. Bérard — a następnie powrócił doń w r. 1896, tego musiał odrazu uderzyć sposób wyrażania się opinji publicznej o sułtanie. Dawniej cesarską władzę, wraz z jej uciążliwemi, kapryśnemi i nieraz drogo opłacanemi skutkami przyjmowano jak rodzaj fizycznej konieczności, której się trzeba poddać, jak trzeba np. znosić w jesieni deszcze albo burze w lecie. Sułtan nie napełniał swoich poddanych ani przerażeniem, ani szacunkiem, ani sympatją, ani żadnem podobnem uczuciem, miano litość nad tym człowiekiem, żyjącym w ustawicznej trwodze przed nożem mordercy lub zatrutą kawą. Odnosi się to zarówno do chrześcijan jak i do muzułmanów, i nikt z nich nie marzył nawet o zmianie — każdy czuł niebezpieczeństwo i bezużyteczność oporu i zajmował się cicho własnemi sprawami; małemi nawet pieniądzmi mogłeś wszystkiego dokonać w tym kraju haszyszu; handel kwitł, więc płacono i milczano.

Dzisiaj o wiele swobodniej mówi się o sułtanie w Konstantynopolu niż w... Paryżu. Muzułmanie zowią go „panem", chrześcijanie „człowiekiem", a obcy „kościanym dziadkiem". Ale wszyscy zgadzają się na jedno i powtarzają to głośno, że on te jest przyczyną wszystkiego, co się w ostatnich latach zdarzyło. „On" tego chciał, „On" to nakazał; „Pan" pozwolił, by Armeńczyków mordowano.

Pozwolenie to przypłaciło życiem bez mała 300 tysięcy ludzi, gdyż bez przesady licząc, dochodzi się do następujących wyników. Od 1 lipca 1894 roku 500 osad ormiańskich częścią zupełnie zniesiono, częścią dobrze zniszczono. Niektóre, jak n. p. konstantynopolitańską lub Jassun utraciły przeszło 6.000 ludzi. W Malatia, Diarbekir, Arabkir liczba wymordowanych dochodziła do 3.000. Przyjąwszy więc za

przeciętną cyfrę 500 trupów w osadzie (a jakto urzędownie stwierdzona cyfra), to razem wypadnie 250.000 pomordowanych. Jak to jest możliwe, by tego w czasie pokoju dokonał **j e d e n** człowiek, i by cała Europa patrzała na jego czyn ze spokojem!

Masło australijskie. Z Australji przywożą do Europy już od dłuższego czasu mięso baranie i królicze w stanie zmrożonym, transportowane w osobnych ku temu celowi urządzonych komorach lodowych na okrętach. Od niedawna przybywa do Londynu także znaczna ilość masła australijskiego, które robi poważną konkurencję nawet doskonałemu masłu duńskiemu. Pomimo tak znacznego oddalenia i długiego transportu przybywa ono tak do Europy, w stanie zupełnie dobrym dzięki oryginalnemu i bardzo starannemu opakowaniu. Formują je mianowicie w wielkie kostki twardo ubite, a następnie do każdego boku sześcianu przyciskają tafle szklane stosownej wielkości tak, że masło jakby w skrzynce szklanej się znajduje. Po zaklejeniu krawędzi kostki paskami papieru pergaminowego lub kauczukowego, oblewają całą kostkę gipsem, który wkrótce twardnieje i dopełnia szczelnego opakowania chroniącego od dostępu powietrza i mikrobów. Masło przywiezione w takiem opakowaniu z Australji, i trzymane umyślnie na próbę przez 2 miesiące jeszcze, okazało się tak dobrem prawie jak świeże. Koszty takiego opakowania mają być niższe, niż jakiekolwiek innego, równie szczelnego.

Na Wawel. (C. d.). P. Ulanowska złożyła swoją puszkę, oraz gotówkę, którą jej przyniesiono i nadesłano: pp. Zygmunt Czerkawski z Kółka prawników 4 złr. 13 ct., Felinia Szumlańska z Krzywego 4 złr. 20 ct., Sierakowska 11 złr. 47 ct., w w tej sumie mieści się 20 fran. złotem, dr Filipkiewicz Stefan 3 złr. 64 ct. zebrane pod koniec swego pobytu w Trenczynie, Klimek z muzyki 94 ct.

U p. Florentyny Adamskiej na Podgórzu odbyło się 13 grudnia 1896 r. rozbicie puszek; puszki przyniosły i nadesłały następujące osoby, panie: Florentyna Adamska, Bednarska, Bergerowa, Gruszczyńska, Górska, Horakowa, Kleinowa, Kriegseisenowa, Swiątkowa, Kratzer, kancelarja p. Adamskiego, pp. Janusz, Poturalski, Żarski, kasa chorych, kasa miejska, apt. p. Matuli, z hadlów p. Bunkowskiego, Matuszewskiego, Piekły; suma uzyskana z tego rozbicia w ilości 37 złr. 73 ct. oddana została p. Ulanowskiej.

U p. Karolowej Pieniążkowej odbyło się d. 30 listopada i 30 grudnia rozbicie puszek na odnowienie Wawelu. Puszki przyniosły i nadesłały następujące osoby, panie: Chmurzka, prof. Dargunowa, Grossowa Julja, Grodeńska, Heimanowa Stanisława, Hubaczkówna, prof. Marsowa, Pogliesówna, prof. Ponikło, Swiderska Alina, Weiglowa; pp.: dr. Jaworski, Łukasiewicz, Krzykowski, Podwin Jan, Rakowski Romuald, Borecki Stefan. Sklepy: Federowicz, Gralewski, dla handlu i przemysłu, Malik, Rybicki, Urban. (C. d. n.).

Do komitetu balu na dochód kolonij wakacyjnych w Kochanowie i szpitala św. Ludwika nadesłały następujące osoby: PP. Olimpja Mężyńska 10 złr., Antoniowa hr. Potocka 10 złr., Romanowa hr. Potocka 20 złr., Adamowa hr. Sierakowska 10 złr., Konstantowie Podhorscy 10 rubli w złocie, Sławomir Odrzywolski 5 złr., Janowie Götz-Okocimscy 20 złr.. Jadwiga hr. Hussarzewska 10 złr. Jan Skirliński 10 złr., Erazm Jerzmanowski 100 złr., Stefan hr. Potocki 10 złr., Antoniowa Marsowa 5 złr.

Na dom pracy na Kazimierzu złożyli na ręce p. delegatowej Laskowskiej p. Stanisław Dobski 5 złr., hr. Edward Starzeński 10 złr.

Zapomniano podać następujące fanty, przesłane jeszcze na loterję: pp. prof. Żuławska 6 fantów, prof. Pieniążkowa 10 butelek wina, dr Hordyński 2 zające, Heggenberger 2 zające, prof. Gluzinska 1 zająca, 1 słoik konfitur, prof. Browiczowa 8 fantów, dr Raczyński pudło ciastek, Rudolphi 2 butelki wina, prof. Marsowa 2 butelki wina, rydze, Ulanowska kosz owoców, Stachiewicz paczkę herbatników, Pawlikowska 4 fanty.

Na głodne dzieci złożyli na ręce prof. Pareńskiej pp.: z Solewskich Gorczyńska 5 złr., Tow. bratniej pomocy kelnerów 3 złr., W. M. 3 złr., prof. Maciej Leon Jakubowski 10 złr., Piotr Szymberski 10 złr. prof. St. Pareński 10

Łańcuszek złoty, damski, odebrany od Jana Latoszyńskiego, lokaja i stróża, podejrzanego o kradzież, jest do odebrania w biurze bezpieczeństwa publicznego „pod telegrafem".

Nekrologja. Franciszek Olszewski, emer. radca namiestnictwa, lat 70, zmarła w Krakowie 22 bm.

Teatr, Literatura i Sztuka.

* Pierwsze przedstawienie „Goplany" Żeleńskiego we Lwowie, dane będzie we czwartek 28 b. m. Wiele osób z Krakowa wybiera się na premierę.

* (Z teatrów warszawskich). Wystawione w zeszłym tygodniu „Figle amora" Konara padły bezpowrotnie. Prasa wyraziła jednogłośnie zdziwienie, że podobnego rodzaju elukubracje wchodzą na repertuar Teatru Rozmaitości. Szkoda czasu i atłasu dla takich „sztuk". Artyści komedji i dramatu zajęci są próbami ze sztuki Hirschfelda „Matki". — *Bibljoteka warszawska*, w zeszycie styczniowym, przynosi dla wszystkich czcicieli talentu Aleksandra hr. Fredry prawdziwie miłą niespodziankę, a mianowicie nieznany utwór wielkiego naszego dramaturga. Jestto dwuaktowa komedja „Z Przemyśla do Przeszowy", o której *Bibljoteka* zamieszcza następującą wzmiankę redakcyjną: „Spuścizna po autorze „Slubów panieńskich" nie została wyczerpana z szeregu ogłoszonych już drukiem tak zwanych „pośmiertnych dzieł" Aleksandra Fredry. W instrukcji, pozostawionej synowi, Janowi Aleksandrowi, wymienia wyraźnie najstarszy Fredro dwuaktową komedję „Z Przemyśla do Przeszowy" (Prerau—Przyrów na Morawach), której rękopis, na dwie ręce przepisany i poprawiony przez autora, znajduje się w archiwum rodzinnem Andrzeja hrabiego Fredry, wnuka wielkiego komedjopisarza". Komedja „Z Przemyśla do Przeszowy" posiada sceny tryskające nieporównanym humorem i stanowi rzeczywiście cenny przyczynek nietylko do charakterystyki ojca komedji polskiej, lecz i **p o ż ą d a n y n a b y t e k** dla sceny.—W teatrze „Małym" wystawiona „Jadzia wdową" Ruszkowskiego doznała jak najlepszego przyjęcia. Powodzenie zapewnione. — W Peterrsburgu, w miesiącu lutym, popisywać się będzie trupa polska, pod dyrekcją Puchniewskiego; toż samo towarzystwo jedzie później do Moskwy. Personal ma być wzmocniony artystami z teatrów warszawskich.

* Dwudziestą dziewiątą wiosnę życia rozpoczął *Djabeł*. Już drugi numer noworoczny tego dwutygodnika satyryczno-humorystycznego sprawia nam miłą niespodziankę. Pełno tam dowcipów ciętych, pogodnych, a co najważniejsza, że w literacką formę przyodzianych. Przezabawne jest „Dumanie Imci Walentego", ciętą „Kronika djabelska" Jarosza. Żywotność, rozmach satyryczny, dowcipne ilustracje stawiają obecnego *Djabła* w szeregu najwybitniejszych pism humorystycznych. Tylko tak dalej, a będziemy mogli się cieszyć z naszego *Djabła*. Czego jemu i sobie życzymy najszczerzej.

* „Nowa Bibljoteka Uniwersalna", której dwa zeszyty na rok bieżący w upłynionym tygodniu opuściły prasę, pomieściła w nich: początek cennych studjów do historji literatury polskiej Stanisława Tarnowskiego, zaczynających się od wielce interesującego szkicu „Co u nas o Kochanowskim pisano?"; siedm arkuszy romansu historycznego „Z olbrzymów rodu" przez Jana Kontrymowicza Ogińskiego; trzy arkusze „Sprzedanego Sieroty" Sigurda, w tłómaczeniu polskiem z trzeciego wydania szwedzkiego; oraz trzy arkusze „Historji literatury francuskiej" przez Zygmunta Sarneckiego. Jest to szkicowy, ale sumiennie nakreślony zarys dziejów piśmiennictwa francuskiego, ułożony według wzoru, jakiego polskiemu autorowi dostarczył doskonały podręcznik René Domnica, znanego zaszczytnie recenzenta literacko-teatralnego w *Journal des Débats* i profesora jednej ze szkół w Paryżu. Sarnecki uzupełnia go krytyką własną i wiadomościami czerpanemi z innych najnowszych dzieł, uznanej wartości. O ile sądzić wolno z tego, co „Nowa Bibljoteka Uniwersalna", najtańsza publikacja u nas, w dwóch pierwszych zeszytach pomieściła, książka ta powinna znaleść licznych czytelników w kołach kształcącej się młodzieży płci obojej.

* Dr Albert Weiss, znakomity tłómacz poetów polskich, zamierza przełożyć dla scen niemieckich „Cud-Dziewicę". Jak się dowiadujemy zażądał on od autora egzemplarza w rękopisie, bo najnowsza baśń dramatyczna Zygmunta Sarneckiego dotąd jeszcze nie ukazała się w druku.

* W pierwszych dniach lutego b. r. wyjdzie w paru tysiącach egzemplarzy, nakładem Nowosądeckiego Wydziału Stow. urzędników kolei austr., humorystyczna jednodniówka „Parochód", — która zostanie rozesłaną wszystkim urzędnikom kolejowym w Galicji.

Czysty zysk z tego wydawnictwa przeznaczonym jest na cele dobroczynne.

* W Berlinie powstał tak nazwany „Instytut dramaturgów", założony przez grono literatów, a mający na celu ocenianie i zalecanie dyrektorom teatrów do grania nowych utworów dramatycznych. Stowarzyszeni wychodzą z założenia, że dyrektorzy teatralni nie mają czasu, a częstokroć i dostatecznej kompetencji do odczytywania i oceniania wszystkich nadsyłanych im rękopisów; że dla ułatwienia sobie zadania zwracają głównie, a nawet wyłącznie prawie uwagę na utwory firm znanych, dających mniej więcej z góry rękojmię powodzenia sztuki, a w najgorszym razie zasłaniających poniekąd dyrekcję powagą swoją przeciw zarzutowi chybionego wyboru. Tymczasem posiadające rzeczywistą wartość utwory młodych talentów nie mogą wybić się na wierzch i przepadają dla sceny, z wielką nieraz szkodą dla niej i dla literatury.

Założeniu temu przyznać należy słuszność, tylko pytanie, czy „Instytut" zdoła uniknąć błędów popełnianych przez dyrektorów; czy potrafi w ocenach swoich pozostać zupełnie wolnym od wszelkich wpływów ubocznych i złudzeń mimowolnych i być w sądach swoich nieomylnym? Toć podobne do niego areopagi wyrokują zwykle o utworach konkursowych, a jednak ileż razy to się zdarza, że nagrodzona, lub wyróżniona na konkursie sztuka przepada na scenie, podczas gdy inna, pokryta milczeniem przez dostojny areopag, tułająca się długo pomiędzy dyrekcjami teatrów i teatrzyków, zdobywa sobie ogromny sukces, gdy się raz nareszcie przypadkiem na deski sceniczne dostanie. Mamy tego u siebie podostatkiem, nawet bardzo świeżych przykładów. Czy „Instytut" berliński zapobieże w Niemczech w zupełności podobnej „komedji omyłek" — wątpić sobie pozwalamy.

Repertuar teatru miejskiego. — Dziś w niedzielę, 24-go b. m. o godzinie 3 popołudniu „Przeor Paulinów", obraz hist. w 7 odsłonach Juljana z Poradowa (przedstawienie popularne). O godzinie 7 wieczorem „Romeo i Julja", tragedja w 5 aktach Szekspira (po raz 2).

HUMOR

— Ależ Anusiu, jakże możesz się tak sprzeczać z panem Karolem, zdawałoby się, że już jesteście po ślubie.

— Panie pryncypale! — krzyknął sekretarz przyboczny, wpadając zadyszany do mieszkania pryncypała pewnego kantoru — kasjer uciekł dziś w nocy!

— Wysadź pan natychmiast komisję do sprawdzenia ksiąg kasowych.

Kto powiada, że damy w naszem mieście nie chętnie zajmują się gospodarstwem, ten niech przeczyta i przerachuje listę gospodyń na pierwszym lepszym balu, a z pewnością w tej chwili cofnie ze wstydem swoje, nieznośnym pesymizmem zaprawione, twierdzenie.

Szarady.

I.

W Lombardji *pierwszy* płynie,
Pierwsze, trzecie rodzi zboże,
W *drugiem* z *trzeciem*, co nie w górze,
Wszystko w „Pieśni" Pola słynie.

II.

Pierwsze i *trzecie* szerokie czasem
Trzecie i *pierwsze* w każdej jest rzece,
Drugie wskazuje. *Wszystek* atłasem
Gardził, a ostrzył na „Groźnym" miecze.

Rozwiązanie szarad z nru 7.

Wi-lja — Mo-ra-wa

Dobre rozwiązanie szarad nadesłali pp.: Bronisław Pierzchała, uczeń III kl. gimn. św. Anny z Krakowa, Eugenjusz Hubaczek, uczeń gimn. św. Jacka z Krakowa, Teodor Banaś z Krakowa, Jadwiga Kulczyńska z Krakowa, Mieczysław Pańcewicz, praktykant z Krakowa, Wirginja Benoluk z Krakowa, Marja Kilińska z Krakowa, Wincentyna Janecka ze Złoczowa, ks. Leon Kurylak z Podkamienia ad Rohatyn, Z. M. z Lubaczowa, Karol Miszkiewicz, pocztmistrz z Białobożnicy, Leon Wnękowski z Wiśnicza koło Bochni, Leon Bieliński z Wadowic, Józef Kielski z Gorlic, Seweryna Zaczkowa, Axim, Alfred Langer, uczeń I kl. realnej, z Podgórza, Pipek z Tarnowa, Mrozowski Wł., uczeń VI kl. gimn. z Bochni, Stanisław Lewik, str. skarb. z Trzebini, Mieczysławe Scharff z Radomyśla przy Tarnowie, Eugenja Rossowska z Podgórza, Stanisław Gorecki i Jaworski Florjan, uczniowie III kl. gimn. z Jarosławia, Władysław Łuczyński, nadstr. skarbu z Ubrynowa, Wład. Maślanka, dyr. dóbr myślenickich JO. ks. Cecylji Lubomirskiej w Dolnej wsi, zgadł także A. B. z Pława, Adela Kossakowska z Jasła, Józef Kamiński, kierownik-nauczyciel z Tarnowca.

Odpowiedzi grafologa.

Gaduła. Pismo męzkie. Lenistwo wrodzone, walczące nieustannie z wielką ilością dobrej, acz może trochę za słabej, a niestety pokonywanej woli. Pewne zamiłowanie do porządku i systematyczności. Upór dziecinny, nie pokrewny wcale zaciętości, ani tęgości charakteru.

Sarneczka. Nieszczerość i może nawet trochę obłudy, bo niewątpliwie potrafimy robić słodkie minki nawet i tym, których nie lubimy. Zamiłowanie do ciągłego badania swego charakteru i usposobienia. Próżność i kokieterja. Stałość w uczuciach.

Kalina. Charakter bardzo mało wyrobiony. Usposobienie bardzo młode. Małomówność.

Viniciusz. Sentymentalizm *par excellence.* Intuicja jest wszystkiem u pana. Pewna bojaźliwość i nieśmiałość. Zazdrość znakomicie rozwinięta i pielęgnowana.

Złośnica. Również bardzo wiele uczuciowości, może zresztą tylko uczucia. Wola jest mimo to dość wyrobiona. Jakieś dążenie do wymarzonego ideału. Złośnica może nie jest fachową złośnicą, ale w każdym razie łatwo się gniewa i unosi.

Szarotce. Zanim ocenimy charakter, ośmielimy się gorąco jej polecić gramatykę polską do gruntownego przestudjowania. Umysł potrzebujący kultury, ale dziś jeszcze nią się nie odznaczający. Dobre serce. Wola dość silna.

Klin. Poza, małostkowość, próżność, słaba wola, egoizm, zresztą chciwość wiedzy i cywilizacji, choć prawdopodobnie dotąd nie zaspokojona.

Clicquot. Jest bajka Lafontaine'a pod tytułem „Kruk i lis". Nie wiem, czy ją pan pamięta. Kruk siedzi na drzewie z serem w dziobie, u stóp drzewa lis, który ma apetyt na ten ser. Jeśli pan nie wie, jak lis do sera doszedł, to proszę bajkę przeczytać...

Cydrargyrum. *„Jeder ist seines Glückes Schmied".* Czemu pani do wszystkich ma małe żale, miasto mieć jeden, wielki do siebie? Trzeba samej wyzyskać, co jest w niej dobrego; a niewątpliwie jest i inteligencja, i wola, choć niewyrobiona jeszcze, i zdolność i wiele innych przymiotów.

Z bieżącej chwili.

Interpelacja Polaków w Sejmie pruskim. Koło polskie wniosło w Izbie deputowanych Sejmu pruskiego następującą interpelację: W ostatnim czasie rozwiązano w Prusach Zachodnich, w Lipinkach (3 bm.), w Kamieniu (3 bm.), w Komorsku (3 bm.), w Lubiewie (10 bm.), w Swiekatowie (17 bm.) zgłoszone wedle przepisu zebrania z tej przyczyny, ponieważ mowcy używali na nich języka polskiego. Niżej podpisani zwracają więc do król. rządu państwowego zapytanie:

1) Czy król. rządowi państwowemu są te przypadki znane, a w danym razie, jakie kroki tenże przedsięwziął w celu zapobieżenia takiemu naruszeniu praw, konstytucją zagwarantowanych?

2) Czy król. rząd państwowy jest gotów wydać rozporządzenia, aby zapobiedz powtarzaniu się zajść podobnych?

Program wyborczy partji narodowo-socjalnej. Z Wiednia donoszą: Partja socjalnych polityków ogłosiła program wyborczy, zawierający trzy następujące punkty główne: 1) Przeprowadzenie reformy socjalnej przez zrównanie materjalnego i cywilizacyjnego położenia członków wszystkich klas społecznych. 2) Rozwiązanie ważnych kwestyj wolnomyślnych, a zwłaszcza przestrzeganie zasadniczych ustaw państwowych względem wszystkich obywateli państwa. 3) Przeprowadzenie narodowo-politycznych reform, a przedewszystkiem zaprowadzenie powszechnego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego, dalej nadanie reprezentajci ludu wpływu na sprawy zagraniczne, zaprowadzenie międzynarodowych sądów rozjemczych, reformy ustawy prasowej i ustawy o stowarzyszeniach, podniesienie ochrony pracy, podniesienie produkcji ekonomicznej, zwalczenie szkoły wyznaniowej.

OSTATNIA POCZTA.

Wiedeń 23 stycznia (w południe). *Vaterland* twierdzi z powodu wizyty hr. Gołuchowskiego w Dreźnie, iż niebawem dynastja saska powołana będzie do odegrania ważnej roli politycznej w Europie.

Berlin 23 stycznia (w południe). Pod tytułem „Hofgeschichten“ ogłasza *Zukunft* (pismo redagowane przez bismarkowszczyka Hardena *Przyp. Red.*) z okazji odbytego w ubiegłym tygodniu przy udziale cesarza Wilhelma wesela córki ministra dworu królewskiego, Wedla, z porucznikiem gwardji hr. Bismark-Bohlen, list prywatny, pochodzący, jak się zdaje, z berlińskich kół najwyższych. List ten zawiera następujące doniesienie: P. Wedel zaprosił na wesele także hr. Herberta Bismarka, a ten, jako stryj nowożeńca zaproszenie przyjął i miał na uroczystości przedstawić „sławny“ odłam rodu Bismarków. Cesarz jednak kazał sobie z początkiem stycznia przedłożyć listę zaproszonych i polecił następnie powiedzieć Wedlowi, że nie życzy sobie spotkać się przy tej sposobności z Herbertem Bismarkiem.

Oświadczenie to cesarza wywołało naturalnie wielkie zakłopotanie. Wedel prosił marszałka Eulenburga o zwrócenie uwagi cesarza, w jaki kłopot go (Wedla) wprawia jego postanowienie. Cesarz jednak wytrwał przy swojem postanowieniu. Hr. Bismark-Bohlen nowożeniec podjął się w końcu napisania do hr. Herberta. Uzyskał on też od hr. Herberta pozwolenie ogłoszenia, że tenże sam cofnął przyrzeczenie przybycia.

Wiadomość ta rozeszła się szybko. Autor listu dodaje w końcu: „Nikt nie wie w dodatku, co na hr. Bismarku ciąży. Przypuszczają wielkie rozgoryczenie na Friedrichsruhe; Ernst (?) sądzi jeszcze ciągle, że idzie tu o „rewelacje Hamburskie“. List kończy się prośbą, by go nie drukowano, gdyż i tak już podejrzany jest o rozgłoszenie sprawy hr. Herbert Bismark.

Berlin *Berl. N. Nach.* zaznaczają odnośnie do ogłoszonego w *Zukunft* listu, że znały już ową sprawę przed 14 dniami z kół parlamentarnych. Powodu nie znają; nie mogą jednak nimi być „rewelacje“, gdyż Herbert Bismark nic z nimi nie miał wspólnego.

Berlin 23 stycznia (w południe). Sekretarz stanu, baron Marschall, powraca dziś z południa i obejmuje urzędowanie.

Konstantynopol 23 stycznia (w południe). Na teraz organizuje się na Krecie trzy kompanje żandarmerji, złożone z żywiołów miejscowych i cudzoziemskich.

Konstantynopol 23 stycznia (w południe). Urzędnik dworski Wechby-efendi zamknął się w numerze jednego z hotelów na Perze i wysłał zeń kilka listów do Ildiz-kiosku, grożąc zastrzeleniem każdego, ktoby wbrew jego woli wtargnąć zechciał do numeru. Dwom wyższym urzędnikom dworu udało się nareszcie wyprowadzić go. Wechby-efendi należy podobno do stronnictwa młodotureckiego. Wechby-efendiego uznano za cierpiącego na pomieszanie zmysłów.

Petersburg 23 stycznia (w południe). Książę Oldenburgski i dyrektor Winograden wyjechali wczoraj do Paryża celem porozumienia się z władzami francuskiemi o środki ostrożności przeciw zawleczeniu zarazy morowej. Mianowicie chodzi o stwierdzenie, czy panująca w Bombay dżuma nie jest ostrzejszym typem tyfusu plamistego.

Paryż 23 stycznia (w południe). Ajencja Havasa donosi z Madrytu: Według wiadomości, otrzymanych z Manili, zamówili powstańcy 30 000 karabinów u belgijskiej firmy w Honkong.

Londyn 23 stycznia (w południe). W Izbie niższej oświadczył wczoraj Hamilton, iż zarządzono wszelkie środki ostrożności przeciw zarazie. Aby zapobiedz zawleczeniu dżumy przez morze Czerwone, zabroniono od 1 lutego wypuszczania z Bombaju i Karachee okrętów, wiozących pielgrzymów do Mekki. Depesza gubernatora Bombaju ostrzega przed niepokojącemi a przesadzonemi doniesieniami. Dotychczas zmarło w Indjach wskutek zarazy zaledwie czterech Europejczyków.

Brindisi 23 stycznia (w południe). Jenerał Baldissera wylądował tu wczoraj rano, a wieczorem odjechał do Rzymu.

Ostatnie telegramy „Głosu Narodu“.

Lwów 24 stycznia (rano). Reskryptem Namiestnika zostały rozpisane w Galicji wybory posłów do Rady państwa, a mianowicie z kurji piątej na 11 marca, z kurji gmin wiejskich na 16-go, z miast na 18 go, z Izb handlowych na 19, z wielkiej własności na 22 marca.

Wiedeń 24 stycznia (rano). Dzisiaj zapadł wyrok orzekający rozwód Girardiego z Odillon.

Wiedeń 24 stycznia (rano). Wczoraj w południe otrzymało prezydjum rady gminnej rozporządzenie namiestnictwa dotyczące terminu wyborów do Rady państwa w Austrji Dolnej. Naznaczono dla piątej kurji na 9, dla kuryj miejskich na 20, dla Izb handlowych na 23, wreszcie dla wielkich posiadłości na 24 marca. Cyfra wyborców w Wiedniu dochodzi do 320.000.

Wiedeń 24 stycznia (rano). Cesarz przyjmował wczoraj przed południem hr. Badeniego na osobnej audjencji.

Budapeszt 24 stycznia (rano). Stanowisko ministra oświaty Vlassicsa jest silnie zachwiane z powodu sprawy Majlatha.

Budapeszt 24 stycznia (rano). Minister Perczel oświadczył w parlamencie, że rozszerzenie prawa wyborczego jest koniecznie potrzebne. Powszechne prawo głosowania jednak nie odpowia stosunkom węgierskim.

Sofja 24 stycznia (rano). W Tracji powstały rozruchy. Niezadowoleni żądają autonomji dla prowincyj tureckich, położnych między Konstantynopolem a granicą bułgarską.

Londyn 24 stycznia (rano). Wszystkie dzienniki bez wyjątku witają bardzo przychylnie uwolnienie Bella. *Pall Mall Gazette* z tego powodu mówi, że niepodobna żądać od Anglji, aby była bocianem wszechświatowym i poświęcała się łowieniem dynamitardów i spiskowców.

Bonny (Afryka) 24 stycznia (rano). Wskutek nieporozumienia między naczelnikiem Iumbo a niewolnikami wybuchło powstanie. Niewolnicy pozbawili Iumbę władzy, jednak ujęli się za nim Europejczycy. Ci obsadzili urząd telegraficzny, który czarni oblegają. Szturmu dotąd nie było.

Gospodarstwo i handel.

Lwów d. 22 stycznia.

Pszenica 7·50 do 8·20, żyto 5·85 do 6·10, jęczmień browarny 6·— do 6·75, jęczmień pastewny 5·— do 5·25, owies 5·50 do 5·75, rzepak 11·00 do 12·00, groch 5· do 9·—, wyka 4.25 do 4·75, nasienie lniane —·— do —·—, nasienie konopne —·— do —·—, bób —·— do —·—, bobik 4·25 do 4·75, hreczka 0·— do 0·—, koniczyna czerwona galic. 35·— do 40·— szwedzka —·— do —·—, biała 30·— do 40·—, tymotka —·— do —·—, anyż —·— do —·—, kukurudza stara 5·— do 5·10, nowa ·— do ·—, chmiel 0·— do 0— chmiel nowy na termina 30·— do 45·—, spirytus gotowy —·— do —·— na termin —·— do —·—, Waranty —·— do —·—.

Usposobienie stałe.

Bochnia d. 21 stycznia.

Płacono za 100 kilogramów netto: pszenicę 7·60 do 8·— złr. żyto 6·25 — 6·50, jęczmień 5·80 do 6·00, owies 5·50—5·80, kukurydza 6 ——6·50, groch 7·50—8·00, fasola 7·50—8·00, tatarka ·—— ·—, proso ·—— ·—, bób 5.50 do 5·?9, koniczyna 32·— do 50·—, ziemniaki 1·90 do 2·10, słomę 1·80—1·90, siano 2·00—2·00, masło za 1 kilo 80 ct. do 90·—, jaja za kopę —·— do 1·20.

Na targ zwierzęcy spędzono: bydła 297, koni 700, świń 993. Płacono za 100 kilo żywej wagi: bydło od 16·50 do 17·50, nierogaciznę od 29·— do 30·—, konie za sztukę od 20·— do 250 złr.

Następny jarmark odbędzie się dnia 4 stycznia.

Sprawozdanie tygodniowe Izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktow we Lwowie od 17-go stycznia do 23 stycznia b. r. bez opłaty akcyzowej. Pszenica stara 7·50 do 7·80, nowa 7·50 do 7·80, żyto stare 5·90 do 6·20, nowe 5·90 do 6·20, jęczmień browarny 6·— do 6·50, pastewny 4·90 do 5·50, owies 5·50, owies 5·55 do 5·80, hreczka 6·40 do 6·80, kukurudza zeszłoroczna 5·30 do 5·55, nowa 4·90 do 5·—, proso —·— do —·—, groch do gotowania 5·45 do 8·50, groch pastewny —·— do —·—, do —·— bobik 4·45 do 4·85, wyka 4·50 do 4·90, koniczyna czer. 40·— do 45·—, koniczyna biała 35·— do 57·—, anyż rosyjski —·— do —·—, anyż płaski —·— do —·—, kminek ·— do —·—, rzepak zimowy stary 11·— do 11·75, lnianka 6·50 do 7·—, nasienie lniane —·— do —·—, seczewica —·— do —·—, rzepik zimowy, —·— do —·—, nasienie konopne —·— do —·—. chmiel nowy 26·50 do 52·50, nafta zwykła 15·— o 16·— salonowa 18—· do 19·—, wszystko ta 100 kilogr., spirytus 10·000 litr-procentowy, kontyngenzowany, bez podatku konsumcyjnego 14·25 do 14·45.

Giełda zbożowa: Cukier surowy loco Aussig 12·12 do 12·17, loco Ołomuniec 11·45 do 11·55. loco Berno-Wiedeń 11·55 do 11·65—, na styczeń loco Aussig 12·17 do 12·22 cukier w kostkach prima 34·25 do 34·50, secunda 34·— do 34·25 Spirytus kontyngentowany loco Wiedeń 15·50 do 15·75 Nafta kaukazka transito Trjest 5·— do 5·20, galicyjska przeźroczysta 19·50 do 20·—.

Odpowiedzi Redakcji.

M. Ziębowskiemu, cyzelerowi. Niechże się pan nie daje używać do tak bezecnych intryg i nie kładzie uczciwego chrześcijańskiego nazwizka pod byle łajdackim paszkwilem. To co panu kazali podpisać, jest stekiem niesumiennych napaści. Brak nam na razie miejsca, aby dziś się załatwić z tymi, co kryjąc się za panem, tchórzliwie szczekają. W przyszłą niedzielę odpowie na te sztuczki Audax. Na razie zaznaczamy, że kłamstwem jest, jakobyśmy napisali, iż p. Rotter popiera tylko żydowski przemysł, na to on jest za sprytny; o tem zaś, że popiera także żydowski przemysł, sam się do tego bezczelnie przyznaje.

Korespondentowi w Tarnowie. Pozostawiamy uznaniu Szanownego Pana. Naszem zdaniem, na to, że tam jakiś piesek z boku szczeknie, nie zwraca się uwagi. Proszek pogardy — jak powiada sługa sprawiedliwości w komedyjce Dominika „Widziadło“ — jest jedynym środkiem autyseptycznym na podobne plamy.

POCIĄGI KOLEJOWE.

Z Krakowa odchodzą:

W kierunku Wiednia, Warszawy i Berlina: godz. 5 min. 28 rano osobowy; godz. 7 min. 25 rano pospieszny; godz. 9 min. 25 przed poł. osobowy; godz. 2 min. 31 po poł. błysk. (I i II kl.): godz. 3 min. 20 po po połud. osobowy; godz. 6 min 10 wieczór osobowy do Oświęcimia; godz. 10 wieczór pospieszny; — **W kierunku Lwowa:** godz. 6 min. 30 rano pospieszny; godz. 8 min. 50 rano osobowy; godz. 11 min. — przed połud. osobowy; godz. 2 min. 49 po połud. błyskawiczny (I i II kl.); godz. 6 min. 35 wieczór osobowy do Rzeszowa; godz. 9 min. 15 wieczór pospieszny; godz. 11 min. 55 wieczór osobowy. **Do Wieliczki:** godz. 12 min. 20 w południe i godz. 7 min 45 wiecz. pociągi mięszane.

Czas środkowo-europejski.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje)

Zakład św. Józefa dla osieroconych chłopców w Krakowie, dołącza do dzisiejszego naszego Dziennika cennik nasion, roślin, szczepów, sadzonek etc. na rok 1897 i sprawozdanie zakładu za rok 1897. Co do cennika nie jest ten w formie ozdobnej, bo Zakład sierot nie może i nie powinien sumy na to łożyć, lecz to co ten cenniczek obejmuje, pewne tak co do jakości jak i ilości i po cenie nader umiarkowanej. — Co zaś do sprawozdania, to Szanowna Publiczność czytając takowe, najlepiej pracę i ekonomikę Zarządu osądzić potrafi.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Papier z fabryki Braci Fiałkowskich w Białej. W drukarni W. Korneckiego w Kra...